Nr. 4 Warszawa, dnia 11 (23) Stycznia 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

MOWA TRONOWA.

Dnia 19 b. m. królowa Wiktorya zagaiła swój parlament. Jak zwykle, mowę napisał jej pierwszy minister, opowiedziawszy się pierwej swym kolegom, z którymi wespół rządy prowadzi, gdy królowa tylko panuje. Nie ona zatem przemówiła teraz do przedstawicieli narodu, ale Salisbury z pomocnikami swymi. Cóż też powiedzieli tym przedstawicielom — ci rządcy?

Przedewszystkiem stosunki ze wszystkiemi mocarstwami są bez przerwy dobre: pierwsze kłamstwo, bo z Rosyą i Francyą i z samą Turcyą, są złe. Mocarstwa podpisane na traktacie paryskim zajęły się rzeziami tureckiemi; ich ambasadorowie w Stambule zajmują się teraz położeniem Turcyi po rzeziach — z jakiego powodu? To powie dopiero księga niebieska. I nic więcej. Dopiero w rozprawach nad adresem w odpowiedzi na mowę tronową w Izbie wyższej, jak zwykle na gorąco rozpoczętych, prezes gabinetu zapalił świecę i dał z niej trochę światła. Niewiele przy niem widać—ale można dostrzedz przynajmniej—niemoc angielską. Jest ona zbyt jaskrawą, aby się w mroku nawet ukryć zdołała.

Salisbury zgóry oznajmia, że nie może powiedzieć, aby wszystkie mocarstwa traktatowe zobowiązały się wywrzeć nacisk na Portę dla ocalenia Turcyi. Zgadzają się one tylko na to, iż postępowanie wspólne, łączne jest koniecznością; ale z mowy pierwszego ministra wyraźnie widać, że za teoryą nie poszła i praktyka i mocarstwa nie postępują *pari passu*, jakby z uznania konieczności wnioskować wypadało. Nacisk na Turcyę o reformy w tej konieczności się mieści; ale margrabia nie wie nawet, czy wszystkie mocarstwa zgodnie zechcą go wywrzeć. „Dokument,“ w którym wyrażono pojedyncze poglądy na nieodzowność reform, najeżony jest sprzecznościami tak we wskazywanych reformach, jak i w projektowanych zagrożeniach, mających w sumie swej wydać owo, od lat dwóch poszukiwane, lecz przed rozumem i wolą ambasadorów uciekające, *x*—rozwiązania sprawy tureckiej bez naruszenia pokoju.

Margrabia Salisbury grozi Porcie, że jeżeli nie wprowadzi reform — na które nie mogą się zgodzić mocarstwa — to nie uniknie upadku. Ostateczna katastrofa Turcyi — mówił—nie da się już zbyt długo odwlec. Wszystkie mocarstwa mają być już, według margrabiego, przekonane, że jeżeli Porta nie wprowadzi reform i nie położy przez nie kresu dzisiejszemu despotyzmowi czy absolutyzmowi, ściągnie na Turcyę następstwa jak najgorsze. Margrabia jest naiwnym. Sam przyznaje, że w dokumencie, naciskającym na Turcyę—wcale nawet jeszcze nie wysłanym, istnieją różnice poglądów, przeciwieństwa i sprzeczności, a jednak nie waha się twierdzić, że nieprzyjęcie i niewprowadzenie reform, których mocarstwa sformułować nawet nie mogą — ściągnie na Turcyę nieuchronny upadek. Lecz Porta może słusznie uważać, i owe reformy, i ową konieczność, i ów nacisk, na które nie ma zgody, za wielkości urojone. Na nalegania ma gotowy odpór: powiedzcie wprzód, czego chcecie; na mnie jeszcze czas.

Nie odrzucenie reform, których rzecznikiem w Londynie był margrabia jeszcze w sierpniu 1895 r., ale których nie pragnie bynajmniej rzeczywisty ster dyplomacyi nad Bosforem — sprowadzi owe najgorsze następstwa, ostateczne katastrofy, upadki Turcyi i t. p. Skutek taki znajdzie się w innym zupełnie przyczynowym związku, a nie w tym przez Salisburego naiwnie wskazanym, przez jego siostrzeńca, Balfoura, w Izbie niższej podczas rozpraw adresowych kształtowanym w nadzieję, że się da Wschód turecki uspokoić bez naruszenia pokoju. Jeżeli Salisbury poważnie groził blizkim już upadkiem, wiedzieć musi o czemś więcej, niż o oporze sułtana przeciwko zbawczym reformom, kładącym kres absolutyzmowi. Nie to, że sułtan nie chce spełnić swego obowiązku, ale to, że dyplomacya dąży do spełnienia swoich zamiarów, dawniejszych jeszcze od sułtańskiego zaślepienia i oporu — sprowadzi katastrofę upadku. To widzi każdy publicysta, ale nie widzi margrabia Salisbury, bo w polityce kto traci siłę, ten traci i rozum. Oś obrotowa wypadków nad Bosforem nie przechodzi przez Downing-Street. Wpływy angielskie na Turcyę dla Anglików są już tylko złotą legendą. Do nich należą słodkie wspomnienia, do kogo innego pałająca rzeczywistość.

Tydzień polityczny. Mowa tronowa angielska wspomina nietylko o Turcyi, ale jeszcze o wojnie zwycięzkiej z chalifem Sudanu (marsz do Dongoli), o uśmierzeniu powstań Matabelów i Beczuanów, o urządzeniu stałej instytucyi pojednawczej ze Stanami Zjedn. Ameryki północnej, o załatwianiu sporu granicznego z Venezuelą i—po tem wszystkiem, o głodzie w Indyach. Jest on straszliwy, a sprzymierzył się z dżumą. Na ratunek potrzeba byłoby 5 mil. f. st., na to zaś skarb, ani naród, całe narody, władzą angielską ostemplowane, zdobyć się nie mogą. W mowie zapowiedziano nowy bil szkolny. Milczą ministrowie o przeciążeniu Irlandyi podatkami stałymi nad normę godziwą, co w grudniu dopiero Irlandczycy wykryli tak przekonywająco, że nawet Anglik, Clarke, były sollicitor generalny, dopomina się zwrotu bezprawnie wydartych milionów. Liche sobkowstwo narodowe, niezdolne faktu zdmuchnąć, dorabia sobie lichszą jeszcze logikę, że wprawdzie Irlandya zapłaciła za wiele podatków, ale jej Anglia zwróciła nadmiar w postaci—akcyzy od zakupionej wódki: zatem rachunki skończone. Parlament niezawodnie zajmie się tą sprawą zaraz po adresie.

Król szwedzki tego samego dnia, co i Wiktorya I, zagaił swoje stany. W mowie swej rzekł: „Świat

powinien wiedzieć, że naszej (szwedzkiej) swobody działań żadne nie krępuje mocarstwo, że jednak kochamy odwieczną naszą wolność i niepodległość." Dalej król mówi, że kredyty wojskowe miały zawsze na celu utrzymanie neutralności, zapewnienie siły zbrojnej, wystarczającej i na neutralność i na niepodległość. Fundusze już uchwalone wyczerpano, król żąda nowych. Organizacya wojskowa z r. 1892 w bieżącym będzie dokonana. Rząd chce na próbę jeden korpus uruchomić. W r. b. wydatki na wojsko i flotę wyższe są o 4 mil. koron od przeszłorocznych. Stan ekonomiczny kraju i kasowy skarbu pomyślny. Mowa ta zwróciła powszechną uwagę.

W Berlinie sejm cesarstwa obraduje nad budżetem. Zapytywano o los procedury karnej. Wolnomyślni powstawali przeciw przymusowi świadczeia, wtłaczanemu na redaktorów. Z powodu taryf radykalny Ulrich zażądał ustanowienia międzypaństwowego sądu rozjemczego do rozstrzygania sporów i utrzymywania równowagi.

Hr. Gołuchowski, przybywszy z sekretarzem swym dyplomatycznym do Berlina d. 16 b. m., wyjechał 19-go do Drezna. Przyjmowano go z wielkimi honorami, wprowadzono na kapitułę Orła Czarnego, wyprawiono mu obiad z kanclerzem i książętami. Cesarz Wilhelm powitał go już wtedy, kiedy go jeszcze w Berlinie nie było; potem miał z nim półgodzinną, a w d. 17 i 18 dłuższe znacznie rozmowy.

We Francyi sejm, zebrawszy się d. 12 b. m., obraduje tak cicho, że go ledwo słychać. Brisson obrany prezesem Izby deputowanych, Loubet — senatu.

Na Madagaskarze gen. Gallien dopuszcza się coraz większych okrucieństw. Silne karabiny, którym licha broń, dowożona Afrykańczykom, dorównać nie może, morduje nawet podejrzanych, ubierając przemoc w formy sądowe. Dopomaga mu odstępca Razagi.

Transwal żąda od Anglii miliona f. st. odszkodowania za Jamesona.

Afrykańczycy z Beninu, na pomorzu koło Nigru, wymordowali wyprawę angielską wywiadowczą. Anglia już wyprawia się przeciwko nim. Royal Niger Company urządziła inną wyprawę na Fullonów (?) dalej, na północy mieszkających.

Na Kubie powstańcom znowu się nie powiodło. W Waszyngtonie p. Dupuy de Lhôme, poseł hiszpański, nie pozwala się wtrącać do spraw wewnętrznych. W Madrycie podobno już opracowują ustępstwa. W kongresie waszyngtońskim cicho.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZAPOMNIANE.

Bardzo ważną i żywotną w danej chwili sprawę handlu terminowego i giełd zbożowych poruszył p. Jeziorański na obradach ziemian d. 11 b. m. Do opracowania memoryłau powołano kilku rzeczoznawców i wogóle traktowano ten przedmiot jako zupełnie nowy na naszym gruncie. Tymczasem prezydujący, dr. T. Kowalski, przypomniał obecnym, że jeszcze w r. 1888 na tem samem miejscu i tę samą kwestyę żywo roztrząsano i zapisano dużo papieru. I wtedy, jak dziś, rajcowie „stanęli na rozdrożu," tj. nic pozytywnego nie uradzili, więc sprawa poszła w zapomnienie.

Nie po raz pierwszy notujemy sobie w pamięci takie fakty. Kto uczęszcza stale na posiedzenia naszych instytucyj, kto notuje przebieg najżywotniejszych wniosków, kto wreszcie śledzi tak zwaną inicyatywę, tj. wstęp do czynu, ten ma sposobność przyglądać się szczególnemu u nas zjawisku: pracy bezpłodnej, napełnianiu rzeszota wodą, która spływa do ciemnych kanalików i następnie wydobyta, znowu odbywa tę samą drogę, nie uroniwszy ani jednej kropelki dla zwilżenia suchej i pękającej gleby naszych potrzeb ekonomicznych i społecznych.

Ponieważ na początku roku każdy z nas ma skłonność do robienia rachunku z przeszłości, więc i my postanowiliśmy dziś przypomnieć kilka takich zapomnianych spraw żywotnych, które poruszyły „opinię publiczną," ludzi wrażliwszych na potrzeby ogółu wprawiały w zachwyt i nawet zachęcały do czynu. Rok 1894 miał powrotną falę projektów i zabiegów o zabezpieczenie bytu wszelkich pracowników. Przez całą zimę rozprawiano wtedy w sekcyi rolnej nad utrwaleniem podstaw przyszłości oficyalistów wiejskich i nawet dano wypracowane już podstawy ubezpieczenia. W grudniu roku ubiegłego z tej fali powrotnej zaledwie pianka wpłynęła na porządek dzienny, którą jednak „prezydyum" starannie starło. Dodajmy, że ta kwestya przetrwała u nas kilka okresów bytu ekonomicznego, że jeszcze w r. 1862 obszernie ją traktował Józef Jakubowicz (w osobnej rozprawce p. t. „Rzecz o emeryturze oficyalistów prywatnych"), a w r. 1876 K. Waliszewski („O kasach zaopatrzenia dla urzędników, oficyalistów i sług").

W r. 1894 pojawił się także całkiem nowy u nas projekt, oryginalny i samodzielny w pewnych swych szczegółach, a obejmujący całe masy pracowników w różnych zakresach. Twórcą jego był przemysłowiec, Ludwik Szwede. Opracował on organizacyę zabezpieczenia bytu na starość za pomocą ogólnej kasy wsparć emerytalnych dla pracujących, bez najmniejszego wszakże ich w tem udziału. Pomoc ta miała ogarnąć wszystkie rzesze w różnorodnych dziedzinach pracy, bez różnicy płci, narodowości lub wyznania, nadto — nietylko ludzi umówionych rocznie, miesięcznie, tygodniowo, lecz i podziennie. Cała zasada tworzenia funduszu jest nadzwyczaj łatwa i prosta: wlepianie marek wsparć w książeczkach (codziennie, tygodniowo, miesięcznie, kwartalnie, stosownie do warunków). Składka dzienna 1—1½ kop. za każdego pracownika byłaby dostateczna. Biorąc za normę kopiejkę (w Warszawie) dziennie, tj. 3 rs. rocznie i licząc 100,000 osób, korzystających z podatku, dałoby się otrzymać dochód dzienny 1,000 rs. Podatek wsparć przynosiłby zatem 300,000 rs. rocznie. Suma ta po latach czterdziestu stworzyłaby kapitał 12 milionów rubli.

Pomysł ten, wprowadzony w życie, nie wywołałby nadzwyczajnych zasadniczych

---

NAPOLEON ROUBA.

TRYPTYK.

II.

W szarym jeszcze mroku listopadowego poranka w bramie kamienicy miejskiej widnieje sylwetka dorodnego stróża, który z powną zaciętością i silnym rozmachem kończy zamiatanie codzienne. Spluwa przytem co chwilę i mruczy ze złością:

— A to skaranie z tymi Żydami! Zawsze brudno, zawsze pełno błota i śmieci! Ten jeden szynk ze swoimi właścicielami, pomocnikami, wspólnikami i innem tałałajstwem zaplugawia całą kamienicę z krzywdą wszystkich innych, porządnych mieszkańców. Nie rozumiem, dlaczego rządca nie rozpędzi ich na cztery strony świata!

Miał słuszność zupełną ten stróż, Jan Garbiel, o ile myślał o porządku w domu i estetycznych wymaganiach tak zwanych przez niego porządnych mieszkańców; ale i rządca, rzadko tylko nawiedzający administrowany dom, miał słuszne powody do utrzymania szynkowni. Pan marszałkowicz, jego mocodawca, ciągle i zawsze potrzebował pieniędzy, a szynk dawał o trzysta rubli więcej dochodu, niżli sklep kolonialny, który był przed kilku laty na jego miejscu.

Ta okoliczność czyniła bezowocnemi wszystkie usiłowania Jana, który dążył do oczyszczenia kamienicy prawie od pierwszej chwili objęcia obowiązków stróża.

Daremne były zabiegi i starania Żydów dla pozyskania stróża: odrzucał z pogardą poczęstunki z wódki i piwa, nawet nie przyjmował papierosów, lubo palił często i chętnie, nie kwapił się również na grosz i śmiał się w oczy, kiedy mu kilkakrotnie stary Żyd chciał dać parę zaśniedziałych miedziaków.

Za to był nieubłagany co do godziny zamykania szynkowni i bramy, uniemożliwiając wyjście boczne dla spóźnionych gości, a w wypadkach usłyszanego hałasu sam przywoływał policyę.

Więc nie dziw, że stosunki jego z właścicielami szynku były najgorsze. Ale on o to nie dbał. Pamiętał doskonale, jak przed dwoma laty powiedział mu marszałkowicz:

— Biorę cię do służby przez pamięć na twego ojca, który tak smutnie zakończył życie w naszym zaścianku, lubo bez najmniejszej winy. Dopóki stanie mnie i tego domu — masz chleb zapewniony.

Przecież marszałkowicz był młody, a kamienica to już chyba wieczna.

Mylił się trochę marszałkowicz, mówiąc o tym chlebie zapewnionym, gdyż w nim nie było mieszkania i pięciorublowa pensya miesięczna, ale Jan nie narzekał, bo mógł szukać pracy i zarobku po za domem. Na obsługę zużywał godziny wczesnego ranka i późnego wieczora, potem szedł na robotę do miasta, a żona zastępowała go we wszystkich wypadkach chwilowej reprezentacyi.

I było mu dobrze od czasu, jak został stróżem, lepiej jeszcze — skoro ożenił się z tą swoją dobrą Basią, a już najlepiej — kiedy usłyszał w swej stancyi krzyk małego Domka, który i teraz właśnie dolatuje do uszu ojca.

Dość już tego zamiatania na dzisiaj!

Z miotłą w ręku Jan schodzi po kilku stopniach do suteryny i wchodzi do obszernej i czystej, choć trochę przyciemnej stancyi. Ogień kuchenki angielskiej oświeca miły obrazek. Na czysto umiecionej podłodze siedzi roczne dziecię i krzykiem domaga się jadła, wyciągając rączęta do matki, która nalewa z garnka do misy dymiący krupnik.

Młoda i ładna kobieta patrzy na dziecię z uśmiechem, lecz upomina surowo:

zmian w warunkach bytu, ale w każdym razie przyniósłby pewne ulgi warstwom pracującym. Pomimo jednak, iż zainteresował i prasę, i ogół, i instytucye, skupiające w sobie różne sprawy żywotne, poszedł bardzo prędko w zapomnienie.

Przed pięciu laty w łonie Towarzystwa przemysłu i handlu postanowiono stworzyć szkołę gorzelniczą, która właścicielom gorzelni przyniosłaby nieocenione korzyści, bo dałaby fachowców z ich uświadomioną pracą produkcyjną. Najbardziej zainteresowani, którzy ten wniosek popierali gorąco słowami, zamilkli zupełnie, gdy przyszło do funduszów. Kwestya z porządku dziennego zeszła do archiwów i dziś możeby najstaranniejszy szperacz nie potrafił jej wydobyć.

Jesienią r. 1894 postanowiono utworzyć w Łodzi spółkę ziemiańską z możliwie największym udziałem wytwórców. Miała ona na celu sprzedaż detaliczną i komisową inwentarza opasowego i mięsa, tudzież drobiu, zwierzyny, masła i innych produktów wiejskich. Stowarzyszeni mieli urządzić sklepy własne, oraz stacyę inwentarza opasowego. Opracowano nawet całkowicie ustawę, poświęcono na to dużo czasu i wszystkie te zabiegi, będące już na drodze do czynu, puszczono w zapomnienie.

Przed paru laty różne fabryki projektów i zabiegów puściły w ruch koła rozpędowe, które miały wytworzyć dla znacznych rzesz ludności roboty publiczne. Rozesłano nawet kwestyonaryusz z następującemi zapytaniami: 1) Jaka powinna być organizacya robót publicznych i 2) czyim kosztem należy je stwarzać? Odpowiedzi zebrano i postanowiono rozpatrzyć szczegółowo. Zarys działalności był już podany. Dla pokrycia wydatków na roboty w powiatach proponowano stworzenie oddzielnych kapitałów powiatowych, na co złożyły się odsetki od różnych poborów, z warunkiem, ażeby owe pieniądze były obrócone na rzecz robót tych wsi, z których owe fundusze zaciągnięto. Prócz tego zalecono wprowadzenie opłat dodatkowych od patentów na handel trunkami. Żądano otworzenia źródeł pracy na wielką skalę i przedewszystkiem w zakresie potrzeb rolnictwa. Jedną z ważniejszych w Królestwie Polskiem byłoby osuszenie błot, zajmujących przeszło 320,000 morgów nowo-polskich, czyli 160,000 dziesięcin. Przedsięwzięcie to, obok dostarczania zarobków warstwom ubogim, podniosłoby znacznie kulturę kraju, dałoby nowe obszary do eksploatacyi. Królestwo Polskie jest ubogie w łąki, gdyż wynoszą one zaledwie 5% ogólnej przestrzeni gruntów. (Obszary bagniste leżą głównie w gub. Suwalskiej i Łomżyńskiej, tudzież w dolinach rzek: Wieprza, Pilicy, Bzury i Przemszy).

Zabiegi powyższe, stojące już na granicy czynu, gdzieś po drodze napotkały jakąś rozpadlinę, wysunęły się z rąk ludziom „dobrej woli" i znikły z powierzchni uwagi powszechnej. A tymczasem ludność uboga, poszukująca zarobków, wzrasta, skupia się nierównomiernie w różnych ogniskach wytwórczych i cierpi nędzę; liczno zaś, niewyczerpane źródła zarobków i zarazem siły produkcyjnej kraju drzemią spokojnie.

Tych paru przykładów wystarczy chyba dla scharakteryzowania losu spraw, na których zapomnieniu cierpi kraj cały. Wszelka robota naszych instytucyj, od których zależy wyjaśnienie i pchnięcie ważnych spraw na drogę czynu, jest bezustannem przelewaniem wody, ciągłem odświeżaniem zabiegów i wniosków, lecz z coraz mniejszą dokładnością. Porządki dzienne różnych posiedzeń są przepełnione wnioskami i referatami bardzo lichymi i pobieżnymi, gdy przed laty kilku te same sprawy opracowano gruntowniej, dokładniej i zapomniano o nich. Czy warto czas tracić na lichą robotę i jej rozpatrywanie, gdy można byłoby tylko wydobyć owoce trudów dawniejszych, w szafach chowane, odświeżyć je i uzupełnić?

Towarzystwa nasze są skłonne do tworzenia różnych dolegacyj czasowych i stałych, którym są powierzane wszelkie kwestye do załatwienia; jedno nawet zdobyło się przed kilku tygodniami na nową sekcyę: przemysłu górniczego. Otóż czy nie byłoby rzeczą pożyteczną stworzyć nową instytucyę, któraby zajęłaby się wyłącznie wydobywaniem wniosków dawnych, przypominaniem zabiegów zapomnianych i czynów zaczętych, lecz niedokończonych? Wiecznie czujna, pochwytywałaby ona chwile stosowne, przyjazne i to, co upadło przed kilku laty, o czem zupełnie zapomnieli nawet ci, których za rzeczników wybrano, wydobywałaby na jaw, udzielałaby wskazówek, kto i kiedy daną kwestę opracował. Tym sposobem wielu „inicyatorów" uniknęłoby jałowej, niedokładnej pracy, a Towarzystwa zalane powrotną falą projektów i ich pianki, nie traciłyby czasu bezowocnie. Wreszcie i społeczeństwo możeby coś zyskało na tem ciągłem przypominaniu i wyprowadzaniu spraw doniosłych na porządek dzienny. Wszakże nas doświadczenie uczy, że nigdy żadna sprawa w życie nie weszła bez przypominania, bez tak zwanego deptania po piętach. Z tego doświadczenia należałoby wysnuć stałą zasadę i zgodnie z nią działać.

Z GALICYI.

Niedogodny termin zwoływania sejmu. — Program sejmowy. — Jak się przedstawia sprawa wychodźctwa do Brazyli u namiestnika i w rzeczywistości.— Memoryał rad powiatowych. — Walka z niemczyzną. — Cylea i Koło polskie. — Gimnazyum niemieckie w Brodach i Lwowie. — Polacy utrzymują gimnazyum niemieckie. — Projekt założenia szkoły gospodarstwa wiejskiego dla kobiet.

Tegoroczny termin zwołania sejmu był bardzo niedogodny — bo wypadł przed samemi świętami Bożego Narodzenia, tak że posłowie zebrali się tylko na trzy dni, odłożywszy dalszą pracę na później. Zdawałoby się, że w Wiedniu nie wiedzą o tradycyjnej uroczystości. Zresztą, prawdę powiedzia-

---

— Poczekaj żarłoku, zaraz tata przyjdzie.

Jan bierze Domka na ręce i siada na zydlu przy stole. Dziecię uspakaja się na chwilę.

Już krupnik na stole i rodzina zasiada do śniadania.

Jan jadł dużo i śpiesznie, a Basia dzieli się każdą łyżką z chłopcem powoli, studząc jedzenie i probując za każdym razem.

— To i ruszam na miasto, a ty Basiu nie zapomnij oddać rządcy, jeśli nadejdzie, te pieniądze, schowane w komodzie, i poglądaj jak zawsze na każdego, kto wchodzi na podwórze.

— A przyjdźże na obiad, uwarzę grochu z wędzonką.

— Więc przyjdę, skoro mnie tak ładnie kusisz, bo i niedaleka mi dziś droga.

Wstał, przeciągnął ogromne ramiona, pogładził piękny wąs, chlubę swojej Basi, wziął z kąta siekierę i piłę.

Ucałował żonę i dziecko, lecz nie wychodził. Promieniejącem spojrzeniem obejmował tych dwoje swoich kochanych i tę stancyę schludną, którą zdobiły dwa duże malowane kufry i nowa komoda.

Ach, ta komoda! Marzyli o niej od pobrania się, ale kupili dopiero przed tygodniem, po setnych naradach i oględzinach w składach mebli.

Stoi nakryta z wierzchu białem czystem płótnem i świeci blaskiem ognia, który odbija się w jej czystej, politurowanej powierzchni.

— A nie trąćże siekierą lub piłą — upomina Basia, łącząc spojrzenia z wzrokiem męża na tym ulubionym sprzęcie.

Po chwili wykrzyknęła zakłopotana i oburzona:

— A czemuż wychodzisz bez szalika?

— Nie zimno jeszcze, trzeba go oszczędzać, bo mi już teraz chyba nie zrobisz nowego.

Basia posadziła Domka na podłodze, dając mu skórkę chleba do ręki, a sama skoczyła do komody i wyjęła szafirowy, szeroki szalik.

— Nachylże się ty wielkoludzie! — mówiła, przystępując do męża i z zadowoleniem patrząc na jego postać, okrytą z przodu ogromnym czystym fartuchem.

Olbrzym pochylił się z uśmiechem, a żona mu zawiązała szalik na szyi.

— A któż ci zrobi, jak nie ja.

— Ha! może i niejedna chciałaby — zaśmiał się Jan.

— Niech jeno sprobuje! — odparła maleńka, zapłoniona kobiecina.

Jan nie może wytrzymać i jeszcze raz ją całuje gorąco i serdecznie, poczem zapala fajkę i śpiesznie wychodzi.

W bramie mija żydziaka, który umyka do drzwi szynkowni i rzuca za nim:

— Ty rozbójnik!

On tylko uśmiechnął się pod wąsem, szepcąc:

— To za wczorajsze.

Poprzedniego wieczora, wracając z roboty, znalazł w bramie cały tłum szwargoczących Żydów, więc huknął na nich z góry:

— A wy tu czego?

Zwykle w podobnych wypadkach hałas milkł, a jego winowajcy rozchodzili się powolnie.

Wtedy zaś usłyszał dookoła siebie groźby i przekleństwa:

— Ty co za jeden!.. ty durny!.. małczy!.. Ty chyba nie nie wiesz?

Nie chciało mu się rozpoczynać kłótni, więc rzucił jeszcze na odchodnem:

— Poszły mi precz! — i skrył się do swojej sutereny, śpiesząc po całodziennej pracy do żony, dziecka i gorącej strawy.

Oho! dziś już on nie taki, jakim był przed kilku laty, kiedy przychodziły na niego czasem chwile strasznej złości i szału. Dziś on drży o swoją Basię, Domka i tę posadę w kamienicy, dziś zresztą czuje się zupełnie szczęśliwym, więc od dwóch lat nie zna już gniewu, nauczył się przebaczać drobne urazy lub nie zwracać uwagi nawet na wyraźne zaczepki.

wszy, terminy sejmowe przypadają zawsze kapryśnie: albo w okresie świątecznym, albo tak są krótkie, że wiele bardzo spraw pierwszorzędnego znaczenia spada z powodu braku czasu. Oczywiście marnieją one w ten sposób po komisyach. Mówią niektórzy złośliwi, że w Wiedniu z miłości ku nam tak robią — abyśmy nie mieli czasu sami o sobie myśleć.

Jak dotychczas, godnemi uwagi są tylko dwie mowy inauguracyjne — marszałka Stan. Badeniego i ex-marszałka, a obecnego namiestnika, R. ks. Sanguszki. Co do pierwszego, ten nic zmienił się wcale; drugi zaś chyba o tyle: zdjął kontusz a włożył mundur. Zresztą pozostało mu dobrotliwe niedołęztwo, cechujące go zawsze. Mowa marszałka była, ściśle rzecz biorąc, programem pracy wyłącznie ekonomicznej.

Wciskanie wszystkich usiłowań i dążeń w taki program, zamiast zwiększać ogólny rozwój kraju, przyczynia się niekiedy do powstrzymania go. To też sam marszałek już na pierwszej sesyi wspomniał słusznie o braku widocznych rezultatów naszych starań i zachęcał — do niezrażania się. Mimo to poszedł za ogólnym prądem i jako niemal jedyne cele wskazał: zwiększenie dróg szosowych, budowę kolei żelaznych, regulacyę rzek, reformę gminną, zmianę ustawy szpitalnej — oto wszystko. Jeżeli z tych kilku pozycyj wyłączymy reformę gminną, to chyba do wypełnienia reszty programu nie potrzeba wcale sejmu, gdyż wchodzą one w zakres działalności administracyjnej. Wystarczy, ażeby on uchwalił budżet, a Wydział krajowy wykonał. Do kompetencyi sejmu należą sprawy ważniejsze, zadania piękniejsze: uporządkowanie nie dróg i mostów, ale stosunków społecznych. To zadanie wszakże bywa stale omijane — jak gdyby nawet obawiano się dotykać go. Ale nie wszyscy tak myślą, bo nie na wszystkie rany znajdzie się tak proste lekarstwo, jak to, które p. marszałek zaproponował.

Już namiestnik w mowie powitalnej potrącił o nie, a później szeroko rozgadał się poseł Szczepanowski, przemawiając ze strony lewicy demokratycznej za budżetem. Sanguszko w oracyi swojej, francusko-polskiej, dosięgnął szczytu człowieka zadowolonego ze wszystkiego, co się dzieje i wdzięcznego Bogu za to, że mu pozwolił spokojnie używać darów austryackich. Czasem ten pokój zamącony został „niebywałym ruchem w kierunku korzystania z ustaw o wolności zgromadzeń i stowarzyszeń“ — ale pierwszy lepszy praktykant z urzędu starościńskiego zmienił „kierunek korzystania z ustaw,“ prowadząc szanownych posłów (nietykalnych) do kozy i rozpędzając ludność. Ponieważ jednak „wolność“ nie na tem nie cierpiała, powtarzano tę metodę wytwarzania pokoju w kraju dowoli.

Druga rana społeczna — wychodźctwo do Brazylii, Niemiec, Rosyi, a nawet do Bośni, znalazła w p. namiestniku spokojnego obserwatora. Tu, trzeba oddać słuszność, rząd brazylijski bardzo nam dopomógł środkiem niezmiernie prostym i łatwym: zamknął granice swoje dla galicyjskich nędzarzy — i odrazu wielka rana społeczna, gnijąca od lat sześciu, zagojona została. Teraz nie ma wychodźctwa. Doprawdy warto, ażeby sejm galicyjski, zamiast zastanawiać się i radzić nad przyczynami emigracyi, wystosował adres dziękczynny do stanów brazylijskich.

A tymczasem marszałek upatruje zbawienie — w ilości kilometrów zbudowanych dróg i w ustawie szpitalnej. Nie przeszkodziło to jednak pismom głosić, że mowa jego jest pełna — „głębokich myśli.“ Prawda, rozmaite są głębiny: dla kiełbi wystarcza kilka centymetrów przezroczystej wody.

Tymczasem Rady powiatowe złożyły Wydziałowi krajowemu umotywowane opinie, przedstawiwszy szereg przyczyn i środki zaradcze w przedmiocie emigracyi. Jako główne jej powody podają one nędzę, która według nich wypływa z upadku rolnictwa, braku przemysłu, fabryk, tudzież łatwej komunikacyi z istniejącemi ogniskami handlu, jako też z niedostatku bliskich rynków na zbyt produktów wiejskich. W ciągu ostatnich lat dziesięciu powstały wprawdzie boczne koleje żelazne, ale miały one cele nie ekonomiczne, lecz strategiczne. Brak rychłego i taniego kredytu, a równolegle z tem rujnująca lichwa, brak pracy i zarobku w porze zimowej, wreszcie klęski żywiołowe i nieurodzaje — oto są pierwszorzędne przyczyny wychodźctwa.

Łatwo zresztą rozdzielić te przyczyny według stopnia, ale trudno w życiu. Do najważniejszych należy zaliczyć również brak oświaty u ludu, co powoduje jego nieporadność, ociężałość i lenistwo, wyzyskiwanie przez Żydów (lichwa, pijaństwo) oraz nieufność do klas wykształconych, wskazujących mu środki do polepszenia bytu. Rozdrobnienie własności ziemskiej wobec braku przemysłu, wygórowane podatki, przeciążanie rozmaitemi opłatami, przyczyniają się do wytwarzania proletaryatu wiejskiego i rozsiewają śród ludności niezadowolenie.

W takiem położeniu ekonomicznem i moralnem znajduje u niej posłuch wszystko, co tylko w dali ukazuje bodaj najsłabszą, najnieprawdopodobniejszą nadzieję. Nędza codzienna i gorąca chęć wydobycia się z jej szponów, wytwarzają w umysłach nieoświeconych pragnienie łatwych zysków w Brazylii, która się stała kolebką nieznanych dotychczas ruchów śród ludności tutejszej i grobem dla emigrantów.

W niektórych powiatach Galicyi zachodniej daje się uczuwać przeludnienie, które wywołuje nietylko ruch emigracyjny zewnętrzny, lecz i wewnętrzny — do powiatów wschodnich. W ten sposób odbywa się rodzaj kolonizowania miejscowości mało zaludnionych, kresowych.

Dla zaradzenia temu wydziały powiatowe wskazują szereg rad, godnych uwagi, nawet p. namiestnika. A zatem: w szkolnictwie ludowem należy wprowadzić nauki praktyczne, ucząc rolnictwa, sadownictwa, pszczelnictwa, przemysłu domowego. Starać się o podniesienie chowu bydła, świń, drobiu; pouczać włościan o tych gałęziach gospodarstwa, zakupować buhaje dla gmin. Wszystko to razem wzięte wpłynąć musi na zmianę systemu gospodarstwa włościańskiego, który utworzony niegdyś na wzór wielkiej i średniej własności, teraz przeżył się i zamiast bogacić — rujnuje ludność.

Do niezbyt szczęśliwych rad należy propozycya zakazu rozdrabniania gruntów, a natomiast doradzanie sztucznych skupin. Należałoby bowiem raczej określić granicę minimalną, niż wprowadzać zakaz. Nietyle drobność działów włościańskich rujnuje ich, ale nieumiejętność użytkowania z ziemi, brak przemysłu domowego, handlu, zarobku. Ludność pozbawiona ziemi przechodzi do miasta i tam dopiero wytwarza ów groźny proletaryat, z którym nie wiadomo co począć i czem go żywić.

Zanim się rzucimy na środki ostateczne, należy przedewszystkiem wyzyskać umiejętnie obszary, które teraz dają dziesiątą zaledwie część tego pożytku, jaki

---

Był już dzień jasny, choć jakiś ponury i mgłą osnuty. Pod miejskim ratuszem stały kupki zziębłych i obdartych mężczyzn, z siekierkami na ramionach lub piłami pod pachą.

Kilku z nich podeszło do Jana.

— Jednego mi dziś tylko potrzeba do piły — powiedział on krótko i skinieniem wybrał starca, którego twarz wyróżniała się wśród innych brakiem śladów opilstwa.

Przed dwoma laty i on tu stawał z innymi po przybyciu do miasta. Znosił wiele przykrości ze strony tych towarzyszów niedoli, ciężkiej pracy i dręczącego wyczekiwania, często na słocie i o głodzie. Zdarzały się nawet awantury z powodu podniecenej rywalizacyi, ale z tych wychodził zwycięzko dzięki swej niezwykłej sile; jego tęgie ramiona dawały mu również pierwszeństwo, ile razy poszukujący robotników robili przegląd od oka. Zdarzały się atoli dni całe, kiedy kurcze żołądka były prawie nie do wytrzymania. Dziś ma już stałych kilkunastu panów, dla których on sam sprowadza drzewo ze składów, piłuje i rąbie. Ma więc stałą robotę, do której nieraz przybiera sobie pomocników i zarabia mniej więcej rubla dziennie.

Latem chodzi z siekierą do cieśli lub dla znajomych składników dobywa bierwiona z rzeki i zarabia nawet więcej.

Obaj z pomocnikiem udali się na sąsiednią ulicę i wkrótce stanęli przed całą kupą grubych i długich bierwion.

Bez straty czasu Jan zdjął watowany kaftan i szalik, zawiesiwszy je starannie na płocie. Poczem włożyli pierwsze bierwiono na kozły i zaczęli piłować.

Piłowali bez przerwy cztery godziny. Zewsząd już byli otoczeni stosem krótkich, jednej miary pniaków. Stary trochę kaszlał, często spluwał, kilka razy chodził pić wodę w studni, aż wreszcie pot kroplisty zaczął z czoła ocierać.

— Poostrzcie-no teraz piłę — powiedział nareszcie Jan.

A sam, jakby nie uczuwając zmęczenia po tej lekkiej robocie, wziął zaraz siekierę i łupał pniaki jedną ręką, rzucając drwa przed siebie do otwartego składu.

Teraz dopiero pokazał, co umie. Polana jeno migały w powietrzu. Do piły był potrzebny pomocnik, jako przeciwwaga, więc musiał miarkować swoje ruchy i siłę, ale z siekierą mógł już bawić się do woli.

Zanim stary ukończył systematyczne opiłowywanie zębów piły, stosy pniaków zniknęły z podwórza.

— To i dobrze, pójdźmy teraz na obiad — odezwał się Jan.

Lecz poszedł sam, bo pomocnik wolał wyciągnąć się na ziemi, otulony siermięgą, mając chleb i kawałek słoniny w płóciennym worku przy sobie.

Suterenę wypełnił miły zapach grochu z wędzonką.

Pierwszem spojrzeniem szukał ojciec syna, ale ten spał w kołysce.

— Dawajże jeść, Basiu! — zwrócił się do żony.

— Już niosę.

— Był rządca?

— Nie; czy słyszałeś? Mówią ludzie, że kamienica ma być sprzedana — zwróciła się do męża zafrasowana Basia, stawiając obiad na stole.

— Kto mówił?

— Antoniowa, co posługuje w szynku.

— Eh! bajki wierutne; czyż to marszałkowicz albo i rządca pójdą do szynku z radą o sprzedaż kamienicy? — odparł Jan spokojnie.

— To prawda, ale... Gdyby to była prawda, to...

— To nic, zmieni się pan, a kamienica zostanie i musi mieć stróża — mówił Jan głosem już mniej pewnym.

Basia uspokoiła się zupełnie.

(D. c. n.).

dawać mogą. Należy zatem nietylko podnieść przez kulturę wartość dzisiejszych nieużytków — co osobliwie stosuje się do okolic podgórskich, lecz także uregulować gospodarstwo majątków gminnych. Tu otwiera się zadanie dla pracy wydziałów powiatowych. Nie wiem, czy istnieje bodaj jeden pośród nich, któryby zwrócił uwagę na drogi dojazdowe do pól; nietylko powszechnie są one zaniedbane, ale niekiedy uniemożebniające zupełnie komunikacyę z sąsiadem. Właściciel posiada pole o sto lub dwieście kroków od chałupy a dojazd do niego drogą, przez pół roku zupełnie niedostępną, wynosi 5—6 kilometrów. Jakie może być gospodarstwo w takich warunkach?

Rady powiatowe proponują, oprócz powyższych, szereg innych środków powstrzymania emigracyi, a właściwie zapobieżenia szerzeniu się nędzy: utworzenie funduszu na zapomogi dla tych gmin, które zechcą same u siebie budować szabrowe drogi; zakładanie kas pożyczkowych systemem Reiffeisena; utworzenie w Banku krajowym drobnego i prędkiego kredytu dla włościan; popieranie przemysłu domowego; dostarczanie zarobku przy robotach publicznych; zaprowadzenie przymusowej asekuracyi od ognia; sprawiedliwa klasyfikacya gruntów; zniżenie podatku spadkowego i gruntowego, uregulowanie systemu pobierania podatków, reorganizacyę urzędów gminnych. Oto wybitniejsze z tych zadań, które mają podnieść stan ekonomiczny Galicyi, zapobiedz nędzy, wywołującej emigracyę i uniemożebnić namiestnikowi na przyszłość składanie podziękowań rządowi brazylijskiemu — za powstrzymanie wychodźtwa z Galicyi.

Walka z niemczyzną, pomimo silnego prądu niemieckiego w łonie rządu, postępuje w całem państwie bardzo energicznie i skutecznie. Założenie gimnazyum słowiańskiego w Cylei i Cieszynie było wyłomem silnym w morzu germanizmu. Równolegle z otwieraniem nowych szkół niższych i średnich idzie zamykanie gimnazyów niemieckich.

Co do Cylei Rada państwa nie uchwaliła wprawdzie na rok bieżący odnośnego funduszu w budżecie tegorocznym, mimo to gimnazyum pozostało, a na rok przyszły błąd będzie poprawiony. Nieuchwalenie pozycyi cylejskiej nosi w zarodku winę Koła polskiego w Wiedniu i jest nowym dowodem, o ile i w jaki sposób ono traci powagę i popularność. Gdy projekt był już na porządku dziennym, posłowie nasi, nie czekając głosowania, rozjechali się na feryę świąteczne. Prezes Jaworski zawiadomił ich telegraficznie o dniu dyskusyi; pomimo to wszakże 26 posłów polskich brakło w Izbie. Lewica niemiecka, a raczej niedobitki jej, w połączeniu z kupką Żydów, przegłosowała pozycyę cylejską zaledwie kilkunastu głosami, a tak była zadowoloną z tego malutkiego zwycięstwa, że hucznymi oklaskami wyraziła swą radość.

Prawie równocześnie Rada miejska m. Brodów, która przed laty kilkunastu prosiła o gimnazyum niemieckie, wystąpiła z prośbą o zniesienie niemieckiego języka wykładowego, długo, szeroko, a nawet pięknie motywując tem, że język ów nietylko nie przyczynia się do ułatwień w życiu, ale przeciwnie często bywa przeszkodą bardzo dotkliwą pod względem materyalnym.

Pozostało jeszcze dwa przytuliska niemczyzny w Galicyi: gimnazyum we Lwowie i w Białej. Istnienie pierwszego już wisiało na włosku. Dużo ono kosztuje, ale mało posiada uczniów. Przeważnie uczęszczają do niego Żydzi, którzy później wynoszą się dla handlu i interesów do Wiednia, oraz synowie oficerów Niemców z całej Galicyi. Dla tej gromadki nie warto jednak utrzymywać osobnej szkoły, tembardziej, że bez wielkich strat dla naszego kraju może ona skuteczniej pielęgnować swoją miłość dla kultury niemieckiej w Berlinie lub Wiedniu. Rada miejska już była zdecydowana znieść to gniazdo, w którem wychowują się kukułki, wykarmione naszym chlebem, gdy nadeszła wystawa. Ktoś szepnął wówczas Franciszkowi o grożącem niebezpieczeństwie, a dobrotliwy cesarz powiedział: to gimnazyum jest bardzo wielką pomocą dla mojej kochanej armii — i placówka niemiecka w centrum naszego życia pozostała z grzeczności.

Obok wyższych kursów żeńskich, o których już pisałem, wypada mi zanotować inny, dodatni fakt w kierunku fachowego wykształcenia kobiet. Na jednem z posiedzeń Towarzystwa gospodarczego we Lwowie, jeszcze przed świętami, jeden z członków, p. Fel. Wiesiołowski, podniósł potrzebę założenia szkoły gospodarstwa domowego i podwórzowego dla kobiet. Jest to jeden z tych praktycznych kierunków wykształcenia, na który już oddawna Francuzi i Niemcy zwrócili uwagę, a my nic nie robiliśmy lub prawie nic. Sprawa ta wszakże, którą drzemiący komitet, jako też liczni bardzo czytelnicy uważali za coś nowego, nie jest bynajmniej nową — nawet w publicystyce galicyjskiej. Już przed dwoma laty były z tego zakresu dwa bardzo dobre artykuły w jednym z tutejszych dwutygodników, ale wówczas żaden członek komitetu myśli tej nie poparł. Lepiej późno, niż nigdy. Potrzeba założenia szkoły tego rodzaju jest niezawodnie na czasie, a coraz bardziej staje się naglącą. Rozwój gospodarstwa wiejskiego specyalizuje się, zatacza coraz szersze koło, stwarza nowe gałęzie przemysłowe lub zmusza do ulepszenia dawnych, a to wszystko wywołuje potrzebę podziału pracy. Przy tym podziale znajdzie wiele kobiet bardzo piękne pole pożytecznego zajęcia dla siebie, znajdzie uspokojenie dla gorączki życia i zadowolenie z dobrych rezultatów. Obyśmy jak najprędzej doczekali najwięcej tego rodzaju szkół.

Cho.

LISTY PETERSBURSKIE.

18 stycznia.

Ożywienie w „kwestyach zasadniczych.“ — Sprawa polska w prasie rosyjskiej. — Program wytknięty przez *Graždanina*. — Narodowy Kościół polski bez papieża. — Monopolista prawomyślności. — Oburzenie prasy. — Wyższe kursy żeńskie.

Nie pamiętam dawno takiego, jak obecnie, ożywienia w prasie rosyiskiej pod względem „kwestyj zasadniczych,“ szczególnie stosunków rosyjsko-polskich tudzież przekonań wogóle społeczno-politycznych. Z głosów tych znaczna część jest tylko echem uwag i poglądów dawniej nieraz już wypowiadanych, ale są też i takie, w których wyraźnie dźwięczy nastrój chwili bieżącej, wynikły bądź ze zmian administracyjnych, bądź też z baczniejszego przyglądania się (acz nie zawsze głębokiego), życiu i jego formom nadanym i wyżłobionym według pewnych programów.

Między innemi *Graždanin* z powodu ustąpienia hr. Szuwałowa naszkicował pospiesznie zadania rządu. Nowemu generał-gubernatorowi mogłaby przyjść myśl: „Czy poprzedniej polityki nie należałoby uznać za niedostateczną i zacząć coś nowego w sferze poglądów, zarządzeń, a nawet w formie systemu?“ „Niechże się to nie stanie. Tak mówi szczere uczucie rosyjskie, płynące z głębi duszy. Nietylko zmiana systemu, ale wszelkie odstąpienie od 35-letniego poglądu państwowego w kraju nadwiślańskim w jedną lub drugą stronę wywołałoby tylko obawę, a ta jest początkiem nieporządków. Do tego prowadzą, chociaż różnemi drogami, dwie przyczyny: słabość w polityce rządzenia i polityka prześladowań, oparta na nienfności względem Polaków To trzydziestopięcioletnie zadanie rządu rosyjskiego jest bardzo jasne: Szanując narodowość polską i wiarę katolicką, prowadzić kraj nadwiślański do ostatecznego zjednoczenia z Rosyą jako organizm polityczny i w tym głównie celu 1) stanowczo i nieubłaganie przeciwdziałać wszystkiemu, co może wprost lub pośrednio sprzyjać idei niezależności państwa polskiego; 2) stanowczo i niezachwianie współdziałać ze wszystkiem, co powinno i może przyczynić się do powiększenia miłości w mieszkańcach dla Monarchy i dla Rosyi: wreszcie 3) stanowczo i stale żądać od podległych władzy osób ścisłego wypełniania praw, a od przedstawicieli władzy—uczciwego, stanowczego i sprawiedliwego wykonywania swych obowiązków służbowych.“

Ten program, zamknięty w trzech punktach, łatwiejszy jest do nakreślenia na szpaltach dziennika, niż do wprowadzenia w czynie i pogodzenia tak, ażeby żadne z trzech przykazań dziennikarza nie znalazło się z sobą w rozterce życiowej.

Na gruncie stosunków polskich nietylko powstają poglądy realne, lecz i pomysły pełne fantazyi, jak np. projekt korespondenta *Now. Wr.* utworzenia polskiego kościoła narodowego, ze skasowaniem celibatu i oderwaniem od Rzymu. Kilka innych pism petersburskich ostro skrytykowało ten wniosek; inne rozsnuły go bardziej i ubrały we wzorzyste szaty swojskości. Do stanowczych przeciwników między innymi należy *Graždanin*, który z ironią powiada, że tacy administratorowie kraju, jak hr. Berg, „byli snadź *głupsi* od korespondenta *Now. Wr.*, gdyż podobnego projektu wcale nie popierali.“ Dąży on bowiem do tego, „ażeby za jednem pociągnięciem pióra zburzyć podstawy urządzeń kościoła rzymsko-katolickiego, oraz wtrącić cały kraj w walkę religijną..“ Jest to pomysł rusyfikacyjny tej kategoryi, jak i wiele innych, „które dowodzą, niestety, jak lichymi naprawdę jesteśmy rusyfikatorami Jedno z dwojga: albo nie umiemy rusyfikować, albo już w sprawie tej nam się niepowodzi... Smutne fakty historyczne stwierdzają, że w tej mierze przesada lub zbytnia powściągliwość były naszym zwyczajem; nigdy nie mogliśmy się utrzymać przy rozsądnym środku... Ponieważ instytucya celibatu śród duchowieństwa katolickiego w ciągu tysiącolecia nietylko nie była przeszkodą w stopniowem wzmaganiu się i rozszerzaniu panowania kościoła rzymskiego, lecz, jak twierdzą powagi, pomagało mu w jego prozelityzmie, ażeby go więc osłabić, trzeba duchowieństwo katolickie w Rosyi obdarzyć prawem hymenu! Wówczas bowiem księża, powodowani wdzięcznością za takie szczęście, a nienawiścią ku kościołowi rzymskiemu, który ich odłączy od siebie, staną się powolnem narzędziem w rękach Rosyi, może się przeistoczą w popów cerkwi rosyjskiej, w kościele katolickim powstanie rozdwojenie, a śród ludności wynikną niepokoje i zaburzenia. Oto wspaniały środek rusyfikacyi!..“

Nie można odmówić wielkiej ironii tym słowom; w wyrażeniu zaś dwu przypuszczeń jest dużo goryczy, na jaką złożyć się może suma faktów, stwierdzających omylki w poddawaniu pewnym metodom badań organizmu, którego sił duchowych i moralnych nie zdołano ocenić.

Nierównie większe ożywienie i zarazem oburzenie w prasie rosyjskiej wywołał nowy redaktor *Moskowskich Wiedomosti*, p. Gringmut, który od wszystkich pism otrzymał zasłużoną odprawę, jako donosi-

ciel, i to fałszywy. Ten nowy „bojownik," uznając jedynie siebie za prawomyślnego, ni mniej ni więcej, wezwał *Wiestnik Jewropy* i *St. Pet. Wiedomosti* do złożenia przysięgi publicznej jedynowładztwu. Oburzenie napastowanych jest uzasadnione popierwsze z tego względu, że p. Gringmut jest zuchwałym przywłaszczycielem niebywałej na takiem stanowisku władzy: *pociągania do przysięgi*; powtóre, że niecnie denuncyuje ludzi niewinnych, a nadto oskarża społeczeństwo, twierdząc, że jest ono przepełnione liberałami. To już delatorstwo w wielkim stylu, acz mizerne w pobudkach, z bardzo mętnych źródeł pochodzących.

„Jeżeli kara potrzebna — piszą *St. Peterb. Wied.* — to niech ją stosuje rząd, ale prasa nie powinna zaglądać pod koszulę obywatela... P. Gringmut jest jakimś demagogiem, chcącym jak Robespierre lub Marat poddać swemu despotyzmowi sumienie i przekonanie wszystkich ludzi. Jedynowładztwo przez niego propagowane, to nie jedynowładztwo rosyjskie; to imperyalizm francuski, skory nawet do despotyzmu komuny... *Moskowskija Wiedomosti* uważają siebie za całą Rosyę, jedyną Rosyę, za jedyne stronnictwo rosyjskie i za monopolistów prawomyślności... *Mosk. Wied.* są obecnie niebezpieczne dla społeczeństwa i zachwiewają ideję rosyjską... Zaprawdę łatwo pojąć gazetę *Norod*, która głosi, że odpowiedzią *Moskowskim Wiedomostiom* na ich wystąpienia pod nową redakcyą powinno być wyrzeczenie się ich przez społeczeństwo..."

St. Peterb. Wied., prócz swoich uwag, dają głos komuś postronnemu, który pisze: „Aby módz czasami mówić gorzką prawdę, trzeba mieć poczucie szlachetności, trzeba umieć zachować równowagę, „gdy chorągiewki na dachu stoją bez ruchu." Jeżeli wszakże niema ani jednego, ani drugiego, to po co stroić się w togę szlachetnego oburzenia? Jeżeli kto z tych lub innych pobudek chce być na ochotnika agentem policyjnym, niechże mu to będzie na zdrowie! Bez tajnej policyi żadne państwo obyć się nie może. Sposób „ochrony państwa," oddawna umiłowany prze *Mosk. Wied.*, ma głęboki wpływ rozkładowy, bo każdego młodego, niedoświadczonego i niepewnego jeszcze w swoich zasadach człowieka, może doprowadzić do wielce niepożądanych wniosków. Czyż władza dla swej obrony potrzebuje denuncyacyi, spowiedzi publicznej?.."

Autor tych słów twierdzi, że okrzyk *Mosk. Wied.*: „Policyę! Dajcie tu policyę!" — jest manewrem, mającym na celu zyskanie sławy poprzednika — Katkowa, ale manewrem chybionym i dla społeczeństwa niebezpiecznym.

Torgow.-Promyszl. Gaz., organ wydawany przez ministeryum skarbu, wypowiada także swoje oburzenie: „*Mosk. Wied.* czynią zarzut, równy zarzutowi zdrady stanu wszystkim tym wydawnictwom, które są dla nich niesympatyczne."

Pismo, wychodzące w Moskwie, *Rusk. Wied.*, również dało należytą odprawę donosicielowi i zarazem scharakteryzowało dwa obozy: „Do rzędu konserwatywnych *Mosk. Wied.* zaliczają siebie; do „liberalnych" — wszystkie inne dzienniki, niezgodne z powyższym. Organy liberalne mówią np.: o swobodzie sumienia, poszanowaniu dla cudzych opinij, o tolerancyi, humanizmie itd. Organy konserwatywne śmieją się z tych wyrazów. Liberalne patrzą na donosicielstwo, insynuacye i przekręcanie myśli przeciwnika z innego punktu widzenia, niż zachowawcze, które nie krępują się w określaniu sposobów „wglądania w duszę" i wyszukiwania tą drogą prawdy pożądanej. Liberalne wolą milczeć o przedmiotach, o których z jakichkolwiek względów niedogodnie lub nie wypada mówić otwarcie; zachowawcze — mówią o wszystkiem otwarcie, milczą jednak, gdy idzie o stwierdzone ulepszenia w dziedzinie ziemstw, o pracy ich około oświaty ludowej, powiększenia służby lekarskiej, krzewienia wiadomości agronomicznych itd.

Istnieje jeszcze jeden sposób, uprawiany przez prasę zachowawczą: np. przemilczanie częściowe, czyli mówienie o danym fakcie o tyle tylko, o ile to jest dogodnem (zupełnie jak u nas nad Wisłą! — *przyp. koresp.*). Oto np. gdy jaki fakt niepomyślny lub mnogość i powtarzanie się podobnych zjawisk wymagają dokładnego i wszechstronnego zbadania sprawy lub przeprowadzenia reformy, ponieważ wszelkie zmiany w duchu postępowych są dla zachowawców pewnego rodzaju siatką, więc o wszystkiem się przemilcza, a mówi o jednej stronie sprawy, tej mianowicie, która odwraca uwagę od istoty rzeczy."

Wogóle wszystko, co ma na celu dobro społeczne, rozproszenie mroków, jest wrogiem konserwatystów. Dla zasnucia widnokręgu ściągają oni zewsząd mgły i chmury, dla zamącenia kryształowej, przezroczystej fali szlachetnych dążeń i porywów ludzkich, leją całe strumienie cieczy cuchnącej i brudnej. Wszystkie najlepsze dążenia prasy rosyjskiej, nie przekraczające nawet najmniejszej miary spraw codziennych, są spryskane tą cieczą ze „Strastnego Bulwaru."

Czytając programowe artykuły, wychodzące pod nową redakcyą *Mosk. Wied.*, można w nich łatwo dopatrzyć nieszczerość, z napomknień zaś słusznie oburzonej całej prasy rosyjskiej wyraźnie przegląda to przekonanie, że p. Gringmut nie jest uważany, ani za prawdziwego rosyanina, ani patryotę rosyjskiego. Tylko jakiś zlepek duchowy, jakiś rasowy mieszaniec, pokryty grubą warstwą wrzekomego patryotyzmu, za pomocą, że tak powiem, galwanoplastyki społeczno-narodowej, może się zdobyć na tego rodzaju walkę śliną zjadliwą i zębami dobrze rozrośniętymi. Na zęby i ślinę szkodliwą prasa rosyjska znalazła środek i zdaje się, że dała niezłą przestrogę nowemu redaktorowi, tembardziej, że opinia niektórych organów (a tym razem zgodna ona w całej prasie) jest opinią sfer wpływających na losy i sprawy wielomilionowego społeczeństwa.

Ze szpalt dziennikarskich, z dziedziny idei i poglądów przejdziemy na chwilę do ruchu na gruncie praktycznym, ku czemu daje nam sposobność sprawozdanie z działalności komitetu dostarczania środków dla wyższych kursów żeńskich za r. 1895/6. Dodajmy, że owa organizacya wykształcenia istnieje tylko dzięki pomocy prywatnej. Jak wykazuje sprawozdanie, bilans roczny wynosi prawie 100,000 rs., cała zaś ta suma powstała z drobnych ofiar. Kursy cieszą się uznaniem ogółu; artyści najlepsi chętnie śpieszą na estradę, aby swoim talentem przyciągnąć publiczność i powiększyć fundusze. W roku ubiegłym koncert taki przyniósł czystego zysku 5,200 rs. Komitet nie poprzestaje wyłącznie na zbieraniu środków materyalnych. Poświęcił on dużo sił i energii na urządzenie biblioteki, która w ciągu jednego tylko roku sprawozdawczego urosła o 602 dzieła (1,040 tomów). Prócz tego uporządkowano i wcielono księgozbiór (1,000 tomów), ofiarowany przez Szlapkina. Dziś biblioteka liczy 6,262 dzieła w 14,758 tomów i 620 broszurach. Wreszcie komitet utrzymuje internat przy kursach, w którym znalazło pomieszczenie 70 osób. Komitet pozostaje pod kierownictwem niezmordowanej działaczki na polu kształcenia kobiet, p. Lichaczowej. Rozwój wyższych kursów żeńskich i szczere poparcie ogółu, świadczy o wielkim pożytku i potrzebie tej organizacyi.

Paweł Krzyżanowski.

PAMIĘTNIK.

Nauka w ochronach.

Krótkie dzieje usiłowań kształcenia dzieci w ochronach Towarzystwa dobroczynności ogłosił *Warsz. Dziennik*. Zadaniem tych przytułków jest opieka nad dziećmi ludności ubogiej od lat 3 do 7, które pozbawione są dozoru rodziców, zajętych pracą, zwykle pozadomową. Wszakże potrzeby życia posunęły w praktyce granicę tego wieku i zaczęto przyjmować dzieci starsze. Władza szkolna, odkrywszy, że te ostatnie pobierają w ochronach naukę elementarną, udzielaną w języku polskim, zażądała przerwania jej i wyjednania pozwolenia na wykłady według typu ogólnego, tj. prowadzone w języku rosyjskim, z wyjątkiem polskiego i religii. Skutkiem tego Towarzystwo Dobroczynności usunęło z ochron 2,000 dzieci starszych (od lat 7), a przyznanego mu prawa otworzenia szkółek normalnych zrzekło się z powodu braku funduszów, które nie wystarczają nawet na potrzeby opieki dotychczasowej. Dnia 17 czerwca zeszłego roku odbyła się w tej sprawie ostateczna narada pod przewodnictwem p. o. generał-gubernatora Petrowa, w której przyjęli udział: kurator Apuchtin, prokurator Izby sądowej Turau, naczelnik kancelaryi gen. gubernatora Szczyrowski, prezydent miasta Bibikow, inspektor szkół Sawenków, prezes Tow. Dobroczynności ks. Radziwiłł, prezes wydziału ochron K. Jurkiewicz i urzędnik kancelaryi gen. gubernatora Zelenin. Wobec wzmiankowanego wyżej zrzeczenia się Towarzystwa, kurator okręgu naukowego, powołując się na zamieszczoną w „Zbiorze post. admin. Król. Polsk." instrukcyę dla zawiadujących ochronami, według której wolno w nich uczyć dzieci pacierza i zasad religii, rozwijać ich siły fizyczne, ćwiczyć w pewnych robotach, kształcić w śpiewie i muzyce, oznajmiać z cyframi, zjawiskami natury itd. — oświadczył nadto, że z jego strony niema przeszkód, aby w ochronach pokazywano dzieciom na tablicach litery alfabetu rosyjskiego i polskiego, byle tylko nie wykładano niczego z książek i kajetów. Przedstawiciele Towarzystwa oznajmili, że do tej decyzyi zastosują się.

Wyjątkowy człowiek.

Pisma opowiedziały żywot zmarłego przed kilku dniami A. Waleckiego. Z tych wspomnień, z których dowiedzieć się tylko można, że nieboszczyk liczył lat 81, kształcił się w Łukowie, Lublinie i Wilnie, od r. 1858 pracował w warszawskim gabinecie zoologicznym, od 1862 był kustoszem gabinetu mineralogicznego przy Szkole Głównej, a potem przy uniwersytecie warszawskim, pisał o antylopach Azyi środkowej, rybach krajowych, zwierzętach ssących, zoografii Polski itd., zamieścił wiele artykułów przyrodniczych w *Bibliotece Warszawskiej*, *Encyklopedyi Powszechnej* Orgelbranda, *Pamiętniku Fizyograficznym* itd. Ale to wszystko, jakkolwiek stanowi poważną wiązankę rzeczywistych zasług naukowych, nie wyczerpuje całej wartości człowieka, a może nawet nie odkrywa najcenniejszych stron jego natury. Był to bowiem — jak nas zapewniają blizcy jego znajomi — charakter wyjątkowej czystości i siły, który swoje cnoty obywatelskie doniósł do grobu w niepokalaniu, który nie sprzedał ich nigdy za żadną korzyść życia, który do swego serca nie dopuścił żadnego uczucia obcego wysokiej godności moralnej. Idealista w zasadach etycznych i czynach, ubierał swoją duszę do zgonu w białą szatę stoicyzmu, niesplamioną i niezakurzoną pyłem rachub osobistych. Z wielu rysów

znamiennych, między którymi są wspaniałe, przytoczymy jeden: nie chciał brać zapłaty za swoje rozprawy naukowe i artykuły, gdyż według niego myśli nie powinny być przedmiotem handlu; godził się jedynie na zwrot kosztów pracy, które np. za 4,374 wierszy drobnego druku w *Encyklopedyi* Orgelbranda wynosiły — według *Wieku* — 65 rs. 61 kop. My, którzy mamy więcej wielkich talentów, niż wielkich charakterów, powinniśmy ze szczególną czcią wyróżniać rzadkie ich postacie. A niewątpliwie do najrzadszych należał A. Wałecki, którego ziemia rodzinna z miłością przytuliła do swego łona na sen wiekuisty.

Przypomnienie.

Wielce zasłużony w piśmiennictwie i działalności społecznej, b. redaktor *Tygodnika Ilustrowanego*, L. Jenike, upomniał się w *Kuryerze Codziennym* o słuszne prawo społeczeństwa do kontroli nad zebranym ze składek publicznych (głównie przez niego) funduszem stypendyalnym imienia Kopernika. Odpowiedni kapitał, wynoszący 16,000 rs., złożony został w warszawskim kantorze Banku państwa, a rozporządzanie procentami powierzono uniwersytetowi warszawskiemu. „Przepisy tych stypendyów — powiada Jenike — zostały pod d. 23 lutego 1876 r. przez p. ministra oświaty zatwierdzone, a paragraf ich 9 brzmi jak następuje: „*Nazwiska studentów*, otrzymujących stypendya lub wsparcia jednorazowe z pomienionej sumy stypendyalnej, *ogłaszają się w gazetach* d. 11 lutego (pomyłka chronologiczna, powinno być d. 19 lutego, przyp. L. J.), jako w dzień urodzin wielkiego astronoma.“ Wyraźnemu jednak brzmieniu paragrafu tego władza uniwersytecka przez rok tylko jeden zadosyć uczyniła, poczem przez lat 10 nastąpiło milczenie. Upomniałem się o to w *Tygodniku Ilustrowanym* nr. 227 z r. 1887, na co od ówczesnego rektora uniwersytetu redakcya *Tygodnika* otrzymała piśmienną odpowiedź z następującym ustępem końcowym: „Wmyśl zatem ustawy o stypendyum imienia Kopernika, zarząd uniwersytetu w dniu 19 lutego starego stylu, ogłaszać będzie nazwiska stypendystów.“ Lecz i tym razem, niestety, zarząd przez dwa lata zaledwo o przyrzeczeniu swem pamiętał i znowu przez lat 6 głucha zapanowała cisza. A przecież ogół nasz, który z tak zacną ofiarnością złożył kapitał, na stosunki miejscowe dość poważny, ma prawo domagać się, aby go o obrocie jego wdowich szelągów zawiadomiono, jak to i sam p. minister oświaty uznał za konieczne. Do takiej samej względności ma prawo i prasa nasza, której poczuciu obywatelskiemu i skrzętności uniwersytet *wyłącznie* stypendyum Kopernikowe zawdzięcza. Za usłużność więc uprzejmością przynajmniej odpłacaćby nam należało, zwłaszcza że w tym wypadku *uprzejmość* owa stała się zarazem *obowiązkiem*. Obowiązek ten właśnie, przy zbliżającym się dniu urodzin Kopernika, władzy uniwersyteckiej przypominamy.“

Może nareszcie głos ten doczeka się nietylko odpowiedzi, ale i stałego uwzględnienia.

Mimowolni sprzymierzeńcy.

Istnieje u nas podobno biuro mechaniczne do wypróbowywania materyałów budowlanych, które jednak nie posiada środków ani sposobów na wypróbowanie mocy ścian i sufitów domów już wzniesionych. Kronika miejska wykazała jednak, że są takie sposoby, wynalezione nie przez biuro, lecz ochotników, stojących po za obrębem wszelkich instytucyj społecznych. Oto według doniesienia dzienników, jakiś złodziej potrafił przebić ściany, sufity przy jednej z ulic warszawskich i splądrować mieszkania na różnych piętrach. Przedsiębiorcy, wznoszący kamienice na spekulacyę, stali się więc mimowolnymi sprzymierzeńcami złodziejów. Ci zaś z czasem, gdy się wyćwiczą w tej nowej sztuce, będą mogli, przedziurawiwszy szereg domów, przejść ich wnętrze przez całą ulicę, albo dostawszy się dachem na czwarte piętro, zejść bez użycia schodów aż do piwnicy i bez pomocy bramy wydostać się na zewnątrz. Podobno nie potrzeba nawet zbyt wielkiej siły i dużo czasu na przebicie lichej, napełnionej gruzem i śmieciami ściany kamienic dzisiejszych. Lokatorowie jednego domu słyszą szum wody w drugim lub kłótnię pani z kucharką za dwiema ścianami. Lokator tedy domu, zbudowanego na spekulacyę, może wiedzieć o sprawach swych sąsiadów z drugiej kamienicy, nie wychodząc z domu; gdy zasypia, może być obudzony nietylko przez wrzawę w lokalu sąsiedniej kamienicy lub drżeniem podłogi, wywołanem przez ruch kołowy na ulicy, ale może także zerwać się ze snu, boleśnie pokaleczony cegłą ze ściany albo kawałkiem sufitu, przez który złodziej zechce wejść do jego mieszkania. Dzięki mimowolnym sprzymierzeńcom rzezimieszków, może być okradziony bez uszkodzenia zamków, drzwi i okien.

Lokatorowie za właściciela.

Że dłużnik podlega sekwestrom, że poręczyciel także poddaje się temu losowi, powszechnie jest wiadome; ale żeby ktoś, kto ma rachunki prywatne z dłużnikami pewnej instytucyi, padł ofiarą jego długów, o tem, zdaje się, żaden przepis na świecie nie głosi. A jednak w takiem położeniu bywa częstokroć lokator warszawski. Właściciel domu za niepłacenie podatków podymnych i miejskich podlega sekwestrowi dochodów, nałożonemu przez magistrat. W takich wypadkach lokator otrzymuje zawiadomienie, że ma płacić komorne w kasie ratusza. Jeżeli zaś nie ma czasu na odbywanie wędrówek do tej instytucyi, odległej od jego mieszkania nieraz o wiorst parę i to w godzinach południowych, kiedy krępują go zajęcia, jeżeli przytem nie życzy sobie wyszukiwać owej kasy i wystawać przy niej po całych godzinach — ulega następującemu rygorowi: przychodzi do niego dwu poborców z trzecim — posługaczem i zawiadamiają, że jeżeli natychmiast nie wniesie komornego na ich ręce, rzeczy jego będą opieczętowane. Nie na tem koniec. Owi poborcy usilują zmienić zasady umowy, zawartej z gospodarzem i pomimo że lokator płaci miesięcznie, oni natarczywie żądają kwoty kwartalnej. Dla ludności ubogiej ci panowie są klęską; tych, co płacą dwutygodniowo, zmuszają do rachunków miesięcznych i groźbą licytacyi wydobywają od nich grosz ostatni lub narażają na zaciąganie długów lichwiarskich. Warto, ażeby ten zwyczaj, niezgadzający się z logiką jakiegokolwiek prawa, nareszcie zniesiono; warto, ażeby magistrat karcił poborców pijanych i nie pozwolił im, jak rabusiom wpadać do cudzego mieszkania, zachowywać się względem lokatorów brutalnie i arogancko; warto wreszcie, żeby natomiast ustanowił inkasentów, którzy przychodziliby po komorne w oznaczonych przez lokatora godzinach. W imię spokoju mieszkańców miasta notatkę tę podajemy.

Dyskrecya.

Od września roku przeszłego do stycznia figurowało na porządku dziennym sekcyi rolnej sprawozdanie p. Danysza z wycieczki do Brzozowej i Sobieszyna. Jakoś zawsze tak dziwnie wypadało, że brakło na to czasu. Ogólna ciekawość jednak wzrastała, bo mówiono, że w tem sprawozdaniu będzie surowa a bezstronna krytyka niedokładności i grzechów gospodarki, wypowiedziana w instytucyi poważnej. Wreszcie na czwartem posiedzeniu referent doczekał się kolei... o 12-ej w nocy, kiedy już wszyscy znużeni ośmiogodzinnem posiedzeniem ziewając, spoglądali ciągle na drzwi i rzucili się do nich natychmiast po skończeniu czytania. Jednocześnie spotkał zawód i ogarnęło zdumienie tych, którzy oczekiwali czego innego. P. Danysz, widocznie pod naciskiem prezydyum, opuścił wszystko, co było najważniejsze, a przeczytał znaną ustawę niższej szkoły rolniczej i trochę szczegółów ze stacyi doświadczalnej. Jest to znamię starannie przestrzeganej przez prezydyum dyskrecyi, gorliwie popartej także przez *Słowo*, które pochwaliwszy tę wstrzemięźliwość, utrzymuje, że nie jest zadaniem sekcyi rolnej krytykowanie błędów w gospodarce *rolnej* dóbr zapisanych na cele publiczne przez hr. Kickiego!.. Nie każdego zadowoli ta wspaniała logika wywodu, więc nie jeden może zapytać, co w takim razie znaczy delegacya tej samej sekcyi, wysłana do oceny gospodarki w Sobieszynie i Orłowie? Tym razem i my będziemy dyskretni, nie śpiesząc z odpowiedzią, którą czytelnik łatwo znajdzie w sposobie traktowania całej sprawy.

BADANIA NAUKOWE.

NOWE PRACE SOCYOLOGICZNE.

Świeżo wyszły dwie prace w języku niemieckim, poświęcone dziejom własności i ustroju politycznego społeczeństw pierwotnych [1]). Autorem jednej, która zajmuje się specyalnie ustawą społeczną państwa Inków, jest H. Cunow, druga, dr. Ryszarda Hildebranda, posiada charakter daleko ogólniejszy, bo rozpatruje ukształtowanie prawa i zwyczajów, zwłaszcza zaś rządów i własności, na różnych szczeblach rozwoju kulturalnego.

Państwo Inków oddawna przykuwało do siebie uwagę badaczy, którzy, zwykle nie obeznani ze zdobyczami naukowemi, dokonanemi w innych działach społecznoznawstwa, widzieli w społeczeństwie amerykańskiem jakiś twór wyjątkowy, nienormalny. Cunow wyniósł zgoła inne wyobrażenie ze swoich studyów, przyczem trzeba zaznaczyć, że pierwszy rzucił on takie światło na przedmiot. „Niejednego etnologa zdziwi może to, że dwa ludy tak odmienne, jak dawni Peruwiańczycy i nasi własni przodkowie, posiadali jednakie zwyczaje i urządzenia rolne. W ludoznawstwie obecnem coraz bardziej rozpowszechnia się przekonanie o równomierności i jednolitości rozwoju społecznego, jednak ustrój państwa Inków uchodził za coś szczególnie wyjątkowego w historyi rodu ludzkiego. Ale takie pojęcie o przedmiocie jest mrzonką bez podstaw.“ Twierdzono mianowicie, że monarchowie z rodu Inków mądrem postępowaniem umieli zbudować z dzikich i niezorganizowanych plemionek trwałą a stateczną monarchię, opartą na zasadach samowładztwa i komunizmu. Studya Cunowa wykazały tam zgoła co innego, bo cały komunizm polegał na istnieniu „obszczyny“ rolnej, takiej, jaką odnajdujemy jeszcze dzisiaj w Wielkorosyi. Inkowie zastali takie pierwiastki już gotowe i cała ich zasługa ogranicza się tem, że rozszerzyli organizacyę społeczną, istniejącą u plemion bardziej posuniętych sąsiedztwa, na

[1]) H. Cunow: *Die soziale Verfassung des Inkareichs.* Eine Untersuchung des altperuanischen Agrarkommunismus. Stuttgart — Dr. R. Hildebrand: *Recht und Sitte auf den verschiedenen Kulturstufen.* Erster Theil. Jena.

inne, które stały jeszcze na niższym szczeblu uspołeczenienia.

Poprzestaniemy na zaznaczeniu tylko tego ogólnego wywodu poszukiwań Cunowa. Ustrój społeczny państwa Inków jest tylko pojedyńczym ustępem dziejów rozwoju kulturalnego, który to ustęp, pomimo pewnych odrębnych właściwości, nie może przecież budzić głębszego interesu, zwłaszcza gdy się okazało, iż nie przedstawia czegoś wyjątkowego, ale jest jedynie szczególnym przypadkiem powszechnie istniejących urządzeń. Wspomniawszy więc tylko nawiasowo o książce Cunowa, przechodzimy do książki dr. Hildebranda. Książka ta bezwarunkowo zasługuje na uwagę z wielu względów. Jest ona bodaj jedną z pierwszych prób zaprowadzenia pewnego ładu w plątaninie faktów socyologicznych i metodą swoją dodatnio wyróżnia się zpośród rozpraw *à la* Spencer. Wprawdzie już Letourneau usiłował dokonać czegoś podobnego, ale wywiązał się jak najgorzej z zadania: potworzył rubryki według ras, rozczłonkował fakty, jak najbardziej związane nawzajem, i połączył lub uszeregował obok siebie obce i dalekie. Zwykle zaś badacze zbierają fakty podobne w jednę całość bez względu na formacyę społeczną, której są one wytworem, i takie kawałki, zgromadzone zewsząd tylko na podstawie blizkości zewnętrznej, wiążą w uogólnienia. Na wstępie do swojej pracy Hildebrand z zupełną świadomością zaznacza niewłaściwość takiego postępowania i natomiast usiłuje materyał faktyczny uporządkować według najodpowiedniejszej zasady, jaka istnieje. Mianowicie wskazuje on różne szczeble rozwoju kulturalno-gospodarczego: myśliwski tryb życia, połączony z rybactwem, pasterstwo, rolnictwo początkowe i późniejsze. „Ażeby odszukać rodowodowe następstwo lub zależność stosunków prawnych i zwyczajów, występujących u różnych ludów i w różnych czasach i wyznaczyć, że pewien zwyczaj jest starożytniejszy, aniżeli inny, trzeba rozporządzać pewnym probierzem, który byłby zupełnie niezależny od chronologii. Za taką skalę można użyć tylko kulturę gospodarczą, gdyż tylko ona przedstawia pasmo następstw ściśle określone, ogólnie jednolite i idzie zawsze w tym samym kierunku, co znowu wynika z tego, iż zaludnienie wszędzie i zawsze wzrasta, oraz iż zpośród wszelkich interesów, przewodniczących życiu, gospodarcze z natury rzeczy są zawsze najpotężniejsze.“ Prócz takiego układu materyału faktycznego, jeszcze inny przedmiot charakteryzuje pracę profesora grackiego. Mianowicie nie wciela on faktów, którymi posługuje się, organicznie do tekstu, tak iż zlałyby się z nim, ale stale i wyraźnie wyodrębnia. Niekiedy na przestrzeni wielu stronic tekst składa się zaledwie z kilku wierszy, po którym idą cytaty, przytaczane z oryginału bez najmniejszej zmiany w języku źródłowym — ustępy niemieckie mieszają się z łacińskimi, francuskimi i angielskimi. Skutkiem takiego postępowania dzieło Hildebranda robi wrażenie raczej notatek, które ktoś przygotował dla ułożenia książki, ale w końcu rozmyślił się i postanowił ogłosić w formie surowej, nieopracowanej, dodając tylko do cytat pewne uwagi przedwstępne, objaśniające ich znaczenie. Taki sposób pisania, odstraszający może dorywczego czytelnika, który w każdem dziele poszukuje już gotowych uogólnień, przystępnie przygotowanych, jest — z pozoru — tem bardziej pożądany dla każdego, zajmującego się danem zagadnieniem i chcącego mieć pod ręką o ile można dosłowne i niesfałszowane brzmienie dokumentów faktycznych.

Ale tak jest tylko z pozoru. W gruncie rzeczy bowiem praca dr. Hildebranda jest gwałceniem faktów od pierwszej do ostatniej stronicy. Fałszowanie to polega na tem, że wszelkie fakty, świadczące przeciw ukochanej tezie autora, są opuszczone bez ceremonii. Pierwszemu rozdziałowi np., dotyczącemu okresu myśliwstwa i rybołówstwa, moglibyśmy przeciwstawić taką samą wiązankę materyału faktycznego, podającego o stanie społecznym tych samych ludów pojęcie zgoła odmienne. Badacz niemiecki jest przedstawicielem tej reakcyi, która od lat kilku zabiera głos przeciw wywodom Maurera, Maine'a, Morgana i in. Chodzi tam zwłaszcza o trzy punkty. Starcke i Westermarck uderzyli na zasadnicze twierdzenie Morgana, mianowicie, że podstawą społeczeństwa pierwotnego były bezładne stosunki małżeńskie. Usiłują oni dowieść, iż pierwotną formę pożycia stanowiła grupa ojcowska, przybierająca niekiedy charakter poligamiczny, że macierzyństwo powstało dopiero na wyższym szczeblu rozwoju i zjawiło się jako wynik sprężyn ekonomicznych, że heteryzm był stanem wyjątkowym, wypływającym z przyczyn czysto miejscowych, nie zaś przeżytkiem pradzikiej swobody obcowania. W związku z tymi zarzutami wymienieni powyżej badacze napadli także, choć tylko ubocznie i mimochodem, na wywody Morgana i innych co do natury i rozległości pierwotnego spoidła gromadnego, jakiem miał być ród (gens). Ich zdaniem, plemię składało się z pojedynczych rodzin, niczem trwale niezwiązanych, które przypadkowo schodziły się, i naówczas ojcowie porozumiewali się nawzajem, stwarzając chwilową, luźną powagę organizacyjną. Wreszcie, już niezależnie od badaczy duńskiego i finlandzkiego, którzy ograniczyli się rozbiorem dziejów rodziny, Seebohm w Anglii, lecz przedewszystkiem Fustel de Coulanges we Francyi, poddali ostrej krytyce wywody Maurera i innych, którzy studyowali starożytność germańską i celtycką, a twierdzili, że ongi własność rolna była ukształtowana na zasadzie gminowładnej, jak dzisiaj „obszczyna“ wielkoruska. Badacz francuski w pracach swoich wychodził z pewnych założeń, które stanowią zasadniczy wątek wywodów Westermarcka i Starckego, tj. że plemię pierwotne było nie korporacyą, ale luźnym zbiorem osób („bez prawa i króla“) i wywnioskowywał, że własność ziemska była pierwotnie rodzinną i że gmina powstała dopiero w okresie feodalnym pod wpływem woli panów.

Książka Hildebranda jest nowym przyczynkiem, usiłującym przywrócić dawny pogląd na dzieje rodu ludzkiego, jakoby wyszedł on z pojedynczych rodzin ojcowskich, z których każda rządziła się i władała ziemią niezależnie od innych. Za podstawę poszukiwań w tym kierunku służą od niejakiego czasu prace Curra, który ze studyów nad Australczykami stara się ukuć oręż krytyczny przeciw wynikom badań Morgana w Ameryce Północnej, oraz Fisona i Howitta w Nowej Holandyi. Rzecz charakterystyczna, że Hildebrand np., powołując się niejednokrotnie na tego antagonistę nowszych kierunków, jakim jest Curr, i korzystając nieraz z prac dorywczych etnologów, których należałoby oddać do archiwum, ani razu nie wspomina nazwiska Howitta i nie cytuje Morgana. Nie istnieją oni dla niego! Można poddawać w wątpliwość uogólnienia badacza amerykańskiego i uważać jego pracę o Irokach tylko za monografię, ale zamilczeć o niej, jak gdyby jej nie było, i opierać się jednocześnie na materyale, czerpanym ze źródeł bardziej podejrzanych, jest to postępowanie bardzo niestosowne i zarazem stronne. A jednak badacz niemiecki hołduje takiej zasadzie!

Hildebrand stawia cztery założenia co do dziejów własności, które stara się udowodnić w swojej pracy. Są to punkty następujące: 1) uważano za własność wspólną to, co było poprostu własnością niczyją; 2) patrzano jak na własność gminną na to, co było, albo jeszcze niepodzielnym spadkiem lub pospolitem współwładaniem posiadaczy indywidualnych; 3) ogłoszono za własność włościańską to, co było tylko prawem użytkowania z gruntów, należących do pana — serwitutem, jak powiedzianoby u nas; 4) w czysto administracyjnym zwyczaju widziano dowód istnienia własności gminnej.

Udowadniając prawdziwość tych twierdzeń, nie szczędzi ostrych docinków przedstawicielom teoryi przeciwnej, którą uważa wprost za twór fantasmagoryi. Rozpoczyna on rozbiór od analizy pierwotnego ustroju społecznego. Plemieniu, względnie rodowi odmawia zupełnie charakteru korporacyi prawnej, tj. tego, ażeby była świadomą organizacyą. Istnieją tam „principes,“ jak piszą Cezar i Tacyt o dawnych Germanach, lecz nie są to wodzowie całości, tylko zamożniejsi lub przedstawiciele starszych linij, wywierający wpływ dzięki bogactwu i stanowisku. Takie „plemię“ koczuje po pewnym obszarze zwykle pojedyńczemi rodzinami lub grupami rodzin, ale nie będąc świadomą całością, bynajmniej nie spogląda na swoje terytoryum jako na rzecz ogólną, ale jako na niczyją, wobec której każdy ma prawo użytkowania. Gdy taka grupa opuszcza koczowniczy tryb życia i bierze się do rolnictwa, to i wtedy nie powstaje własność wspólna, bo osiedla się lub zajmuje nowe obszary nie korporacya, ale prosta suma pojedyńczych jednostek — przed dokonaniem takiego czynu istnieje nie ogólne prawo gromady, ale jednakowo prawo każdej pojedyńczej jednostki. Do roli biorą się oddzielne rodziny, ale ziemia nie jest tam jeszcze własnością, ani prywatną, ani gminną, gdyż w owych czasach nie posiada ona jeszcze najmniejszej wartości. Wszystko ogranicza się na tem, że ktoś bez przeszkody zbiera plony, wydane przez jego pracę. Jest to tylko prawo zbierania tego, co ktoś zasiał, oraz zasiewania na kawałku, przez siebie wykarczowanym, karczunku zaś dokonano na obszarze niczyim. Niekiedy zdarza się, iż bracia i nawet dalsi krewniacy siedzą pospołu, paszą bydło na tym samym paśniku lub trzymają grunta w spółce. Ale i wtedy nie jest to własność korporacyjna, tj. gminna, tylko niepodzielne jeszcze istnienie obok siebie współwłaścicieli indywidualnych — nie *res communis*, ale *condominium*, przyczem dokonany podział niszczy zupełnie taką wspólność.

W miarę wzrostu ludności ilość gruntów, będących jeszcze do zajęcia, zmniejsza się i ziemia zaczyna nabywać wartości. Wraz z tem powstaje rzeczywista własność ziemska, tj. wyłącznie czyjeś prawo do niewykarczowanej jeszcze i niezoranej kniei, do ziemi, jako do ziemi bez względu na to, czy włożono tam pewną pracę lub nie. Ale tylko możni, owi dawni „principes,“ dochodzą do tego: książęta i panowie zagarniają olbrzymie obszary i przywłaszczają sobie. Własności włościańskiej tam niema, tj. nie zdarza się, ażeby ten, kto uprawia ziemię własną ręką, był jej posiadaczem, albo, ażeby miał prawo sprzedaży lub rozdarowywania gruntów jeszcze dziewiczych. Wprawdzie jeszcze długo może je dowolnie karczować, ale dlatego, że tu i ówdzie utrzymały się stosunki pierwotne, polegające na istnieniu obszarów, do nikogo nienależących. Że ktoś taki nie staje się bezwzględnym właścicielem uprawianego kawałka, pochodzi to ztąd, że niema on odpowiedniej władzy i że musi uledz możnym, którzy zostawiają mu nadal użytkowanie z gruntu i pozwalają współsąsiadom wyganiać bydło do lasu i na paśnik. Ale takie wygony są tylko prawem korzystania z cudzej własności bez cienia zasady gminnej. Wreszcie pod wpływem pana zjawia się z czasem sama gmina.

Dwór bowiem dopiero stwarza z wioski korporacyę, pociągając ją do zbiorowej odpowiedzialności za daniny, i na tem podłożu organizując odpowiednie urządzenia.

Tak przedstawia się całokształt wywodów Hildebranda, będących jak gdyby wstępem porównawczo-etnograficznym do prac Fustel de Coulangesa. Badacz niemiecki zręcznie wyzyskał słabe strony przeciwników. Jeśli zastanowimy się nad pojęciem, jakie lud nasz zawarł w przymiotniku „boży," gdy mówi o lesie, to na razie trzeba byłoby przyznać słuszność Hildebrandowi. Ale tylko na razie. Dość będzie rozejrzeć się w materyale faktycznym, tak niesumiennie przemilczanym, ażeby ujrzeć, że w rozwoju społecznym występują jeszcze inne kategorye. Irokowie u Morgana są bezwarunkowo całością, świadomą organizacyi plemiennej, i nawet dzicy na N. Holandyi w stosunku do plemion ościennych nie powiedzą, iż obszary ich są niczyje. Wreszcie, jak pokazują dzieje własności ziemskiej u Kozaków, grunta „niczyje," bez żadnego przymusu, stają się zbiorowemi, nawet korporacyjnemi, z chwilą, w której ziemi jest mało i trzeba jednym coś odbierać, ażeby inni coś posiadali. Gmina jest tylko dalszem ogniwem takiego obcinania.

Swoją drogą takie prace są bardzo pożyteczne, bo zmuszają przeciwników, zbyt ufnych w swoje wywody, poraz drugi sprawdzić założenia i poddać rozbiorowi fakty.

K.

LITERATURA I SZTUKA.

Włodzimierz Korolenko.

II.

„Cienie" — to sen jednego z uczniów Sokratesa. Oburzony niesprawiedliwością współobywateli, Ktezyp długo nie mógł się uspokoić, próżno szukając odpowiedzi na pytanie, czy jego mistrz, który tak niewinnie i tak mężnie zginął w walce o prawdę, zupełnie już przestał istnieć, czy już nic z niego nie pozostało na świecie. Wyczerpany — zasnął i śniło mu się, że widzi wielkiego Ateńczyka, który śmiało dąży przez ciemne krainy pozagrobowe. Na szczycie Olimpu ukazała się groźna postać Zeusa. Ojciec bogów i ludzi gniewem, piorunami i błyskawicami chciał zgasić iskrę geniuszu i prawdy w słabym Ateńczyku, który odważył się rozpocząć walkę z widmami rozpustnych, krwiożerczych Olimpijczyków, Sokrates nie ugiął się. „Ktoś ty — odpowiedział zaniepokojonemu jego odwagą Kronidesowi — ktoś ty, rozkazujący mi zagasić ten święty ogień, co oświecał moje życie od chwili, kiedy się do niej przedostał pierwszy płomień świętej myśli? Słońce nie mówi gwiazdom: zgaśnijcie, abym mogło wzejść. Ono wschodzi i słabe promienie gwiazdy toną w świetle nieskończenie potężniejszem. Dzień nie mówi pochodni: zgaśnij — przeszkadzasz mi. On się rozpala, a pochodnia dymi, lecz nie świeci. Bóstwem, do którego dążę, nie ty jesteś, który się obawiasz zwątpienia. Ono, jak dzień, jak słońce, jaśnieje nie gasząc niczyjego światła. Ten, który powie: tułaczu, oddaj mi pochodnię; nie będzie już ona tobie potrzebną, albowiem ja jestem źródłem wszelkiego światła... Ten, który powie: złóż na moim ołtarzu drobny dar niepewności, albowiem we mnie jest rozwiązanie—ten jest moim Bogiem, którego szukam," „któremu na imię — Prawda!.." „Tak, opuściłem gościnny przytułek, w którym panowała poczciwa wiara; tak, widziałem ją, tę pustynię, pozbawioną żywych bogów, pogrążoną w mroku ponurych wątpliwości. Ale wstąpiłem w nią bez strachu, bo mi przyświecał mój geniusz, boski pierwiastek wszelkiego życia... Tak, nie jestem budowniczym, nie jestem twórcą nowej świątyni, nie mnie przeznaczonem było wznieść na dawnem miejscu od ziemi do nieba wspaniały gmach nowej wiary. Jestem wymiataczem, zbrukanym w kurzu ruiny. Ale, synu Kronosa, sumienie mówi mi, że dla świątyni potrzebną jest także praca wymiatacza. Gdy na oczyszczonem miejscu wytwornie i wspaniale wzniesie się piękny gmach i zapanuje w nim żywe bóstwo nowej wiary, wówczas ja, skromny wymiatacz, przyjdę doń i powiem: oto jestem, com bez odpoczynku czołgał się w prochu przeczenia. Otoczony mgłą i kurzawą, nie miałem czasu oderwać wzroku od ziemi, w moim umyśle ledwie zarysowywało się niewyraźne marzenie o przyszłem budowaniu... Azali odtrącisz mnie ty, prawdziwy, sprawiedliwy a wielki?.. Szukałem Ciebie, albowiem znajdujesz się w prawdzie, dążyłem do Ciebie, albowiem jesteś w sprawiedliwości, kochałem Cię, albowiem jesteś w miłości, dla Ciebie umarłem, albowiem jesteś źródłem życia... Azali odtrącisz mnie, Nieznany? Moje ciężkie wątpliwości, moje gorące poszukiwania, moje mozolne życie, moją śmierć dobrowolną — przyjmij je, jako ofiarę niekrwawą, jako jedną modlitwę, jako westchnienie do Ciebie, przyjmij tak, jak bezbrzeżny ocean czystego eteru przyjmuje ulotny obłoczek znikomego tchnienia... Usuńcie się więc z drogi, mgliste widma, zasłaniające światło jutrzenki!.."

...Gdy Ktezyp otworzył zdziwione oczy, roztoczył się przed nim widok niezwykły. Noc znikała, chmury rozbiegły się. Cienie bogów szybko mknęły po błękicie, jak złoty deseń na szlaku czyjejś szaty. A szczyt góry już cały wzniósł się nad tajemniczymi obłokami i lśnił, jak pochodnia, po nad błękitnemi mgłami doliny..."

Nie zwycięzką walkę z obłudą i przesądami nie tryumf prawdy i miłości nad krzywdą i fałszem widział we śnie Makar. Był to ubogi Jakut, „który pracował strasznie, żył w nędzy, głód i chłód znosił cierpliwie" — słowem był to ten sam Makar, na którego, według rosyjskiego przysłowia, wszystkie biedy się walą. W wigilię Bożego Narodzenia upił się i zasnął. Śniło mu się, że umarł i stoi przed sądem Boga — wielkiego Tojona. Tojon, rozpatrzywszy grzechy Makara — pijaństwo, lenistwo i oszustwo postanowił ukarać go surowo: Makar miał stać się koniem i wozić sprawnika dopóty, dopóki na śmierć się nie zajeździ. Ale w tej chwili wszedł syn Tojona, usiadł na prawicy ojca i rzekł do Makara: mów, biedaku! Jakaś otucha napełniła serce biednego Jakuta; uczuł niezwykłą odwagę, której się sam dziwił. Przypomniał sobie całe ubiegłe życie i zaczął bronić się przeciwko niesprawiedliwemu wyrokowi. Konia pędzą, ale karmią go owsem, a jego pędzano przez całe życie i owsa wcale nie dawano. „Pędził starosta i wójt, sędzia i sprawnik, ściągający podatki; pędzał niedostatek i głód, pędzały mrozy i upały, deszcze i susze; pędziła przemarzła ziemia i zła tajga!.. Bydlę idzie naprzód i patrzy w ziemię, nie wiedząc, dokąd je pędzą... I on tak samo..." Narąbał szesnaście tysięcy żerdzi. „Czyż tego mało? Z nich dwa tysiące narąbał wtenczas, kiedy mu pierwsza żona chorowała... Ciężko mu było na sercu, chciał siedzieć przy swojej starej, a niedostatek pędził go do tajgi. Płakał wtedy pokryjomu, a łzy marzły mu na rzęsach i zimno przenikało razem z rozpaczą aż do serca... A on rąbał! Potem stara umarła. Trzeba było ją pochować, a pieniędzy nie było. Najął się drwa rąbać, aby módz zapłacić za jej domek na tamtym świecie. Kupiec spostrzegł, że pieniędzy potrzeba i dał mu tylko po dziesięć kopiejek... Stara leżała samotnie w nieogrzanej ciemnej izbie, a on znowu rąbał i płakał. Jemu się zdaje, że te wozy trzeba liczyć pięć razy drożej i nawet więcej!" „Wszystko mają zapisane w księdze: niechże poszukują, czy doświadczył on kiedy szczęścia, rozkoszy, przyjemności? Gdzie są jego dzieci? Gdy umierały, było mu ciężko i gorzko, gdy zaś dorastały, opuszczały go, aby same mogły walczyć z ciężkim niedostatkiem. I zestarzał się oto samotny ze swoją drugą żoną i widział, jak opuszczają go siły i zbliża się zła, bezsilna starość. Oboje stali samotni, jak stoją na stepie dwie jodły sieroty, w które ciągle uderzają wichry i wściekłe zamieci..." „O jakich to sprawiedliwych mówi Tojon? Jeżeli o tych, co jednocześnie z Makarem żyli na ziemi w bogatych dworach, to Makar zna ich dobrze... Oczy mają jasne, bo się myją pachnącemi wodami... A zresztą, czyż tego sam nie wie, że i on urodził się, jak inni: z jasnemi, otwartemi oczyma, w których odbijały się niebo i ziemia, i z czystem sercem, gotowem do przyjęcia wszystkiego, co dobre i piękne? Jeżeli teraz chciałby się schować pod ziemię, by ukryć tam swą brzydotę i hańbę — to wina nie jego... Czyjaż więc?.. Tego on nie wie. Ale wie tylko, że w sercu już mu zabrakło cierpliwości... Jak zdołał nieść do tego czasu tak ciężkie brzemię? Niósł je dlatego, że ciągle przed nim, jak gwiazdka wśród mroku, błyszczała nadzieja. Żyć, więc powinien może jeszcze doczekać się lepszej doli... Teraz oto dobiegł kresu drogi i nadzieja znikła na zawsze!" Makar „uczuł straszny żal nad samym sobą... I zapłakał serdecznie... A stary Tojon płakał także. I płakał stary pop Iwan, i wylewali łzy młodzi boży robotnicy, ocierając oczy szerokimi białymi rękawami.. A waga ciągle się kołysała i drewniany talerz (na którym aniołowie złożyli grzechy Makara) wznosił się coraz wyżej i wyżej!.."

W tych trzech nowelach odbiły się podstawowe założenia twórczości Korolenki. We wszystkich innych utworach zaznaczają się te same myśli przewodnie. Są one wyrazem najwyższych praw etycznych współczesnej doby. Zasadniczym punktem poglądu na świat Korolenki, o ile uwidocznił się w jego dziełach, jest szczere współczucie z wszelkiem prawdziwem nieszczęściem. Urojone cierpienia przeżytych neurasteników, egzaltowana miłość salonowych próżniaków są pierwiastkiem, którego nie można się doszukać w jego utworach. Rażące sprzeczności, cechujące społeczeństwa dzisiejsze, brutalny egoizm jednych, nędza i ciemnota innych — to pytania, nad któremi musi się zastanowić czytelnik jego nowel. Praca nad usunięciem tego zła, walka z krzywdą są hasłem, które nasuwa Korolenko, jako obowiązek, cel, źródło zadowolenia moralnego w życiu. Nigdy nie używa on tonu dydaktycznego. Nie uznaje dogmatycznej bezwzględności: treść, istota zjawisk życiowych panuje w jego nowelach nad zewnętrzną stroną, formą wypadków. Wałek z noweli „W złem towarzystwie," który dopuszczał się kradzieży dla zaspokojenia głodu swojej siostry; ułomny Krzysztof Załuski („Paradoks"), który zdobywał środki do życia przez okpiwanie łatwowiernej publiczności; syberyjski furman („Szkice turysty syberyjskiego"), zabijający człowieka w celu uratowania życia kilku osobom — to nie są zbrodniarze, dla których może istnieć tylko potępiający wyrok. Korolenko uważnie bada ich dusze i nietylko ich usprawiedliwia, ale współczuje i nawet sympatyzuje z nimi. Z drugiej strony jest on nadzwyczaj konsekwentnym i surowym

w wymaganiach altruizmu czynnego. Jego „ślepy muzykant" godzi się z życiem na gruncie współczucia dla jeszcze nieszczęśliwszych od niego i pracy — według sił i możności — dla ich dobra. Ułomny fenomen z „Paradoksu" składa swój grosz na ołtarzu dobra publicznego, komunikując dwom młodym chłopcom aforyzm o celu życia, który zmusza dziecinne umysły do poważniejszego zastanowienia się nad paradoksami życiowymi. Pożyteczna praca dla otoczenia, dla bliźnich powinna być obowiązkiem moralnym wszelkiej egzystencyi.

Obok tego utwory Korolenki cechuje gorąca wiara w potęgę uczucia i myśli ludzkiej. Nie rzuca on bynajmniej zasłony na łzy i niedolę; przeciwnie, odczuwa je silniej, niż wielu pesymistycznie kwilących literatów, ale tem energiczniej protestuje przeciwko nim, tem bardziej się cieszy z każdego zwycięztwa nad przemocą i fałszem. Czy genialny Sokrates wypędza starych bogów z nieprawego przybytku, czy przesądni chłopi po zaćmieniu słońca korzą się przed potęgą nauki i teleskopów, które przedtem chcieli zburzyć („Podczas zaćmienia"), czy naiwna bajka ukraińska rozniеca uczucia humanitaryzmu i tolerancyi w chłopie rusińskim („Jom-Kipur") — dla Korolenki wszystko to jest zapowiedzią wzrostu szczęścia społecznego.

Jeżeli porównania z literatury polskiej mogą przyczynić się do wyświetlenia cech charakterystycznych talentu Korolenki, to należy stwierdzić pewne podobieństwo, które zachodzi pomiędzy nim a Prusem, Żeromskim i Ostoją. Wszyscy ci beletryści odznaczają się wielką wrażliwością na cierpienia ludzkie. Całkowite przejęcie się bohaterami, zupełne zlanie się indywidualności autorskiej z ich życiem duchowem jest częstem i u Korolenki, i u Ostoi. Pewien pesymizm, cechujący twórczość Ostoi i Żeromskiego, nie daje się zauważyć u Korolenki, więcej zbliżonego pod tym względem do Prusa. Od tego ostatniego jednak Korolenko różni się poglądem na środki zaradcze przeciwko chorobom społecznym. Prus zawsze był zwolennikiem indywidualnych usiłowań, „pracy organicznej" (w najlepszem i dawniejszem znaczeniu tego wyrazu) i to pojmowanie obowiązków społecznych często wypowiadał w swoich utworach beletrystycznych. W nowelach Korolenki nie ma żadnych wskazówek co do programu społecznego; z jego artykułów publicystycznych należy wnioskować, że jest wyznawcą tych poglądów, które w prasie polskiej wybitniej zaznaczyły się w epoce krytyki „pracy organicznej." Głębsza znajomość najnowszych prądów społecznych jest wspólną Korolence i Żeromskiemu. Zresztą Żeromski, jako przedstawiciel młodszego pokolenia, bardziej ulega ich bezpośredniemu wpływowi.

Nie czas teraz wypowiadać o Korolence ostatnie zdanie. Jest to mężczyzna czterdziestokilkoletni, a więc w sile wieku. Stworzy on jeszcze, zapewne, niejedno piękne dzieło*).

W. Siekierski.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Z estrady i ze sceny.

Pożądany czynnik zyskały koncerty Towarzystwa muzycznego w orkiestrze symfonicznej; wprowadza ona duże urozmaicenie do programu, popisując się samodzielnie, jest niemałem poparciem solisty, gdy mu towarzyszy w wykonywaniu dzieł różnych. Od doskonałości daleką jest jeszcze ta młoda orkiestra, zwłaszcza, gdy chodzi o utwory, wymagające subtelniejszego wykonania, w czem w części wina też miernych instrumentów. Natomiast ilekroć zdarzało nam się słyszeć ją, towarzyszącą fortepianiście, czy skrzypkowi, mieliśmy dla młodej drużyny artystycznej tylko słowa uznania. Pomimo, iż muzykalna część mieszkańców Warszawy uznaje bezwarunkowo potrzebę orkiestry własnej, nietylko byt orkiestry symfonicznej nie jest dotąd zapewniony, ale nawet ma się wkrótce odbyć posiedzenie Towarzystwa muzycznego, na którem sekcya orkiestrowa interpelowana będzie na jakiej zasadzie orkiestrę utworzyła? A tymczasem Towarzystwo łyżwiarskie rozpoczęło już układy z rożnemi orkiestrami zagranicznemi, by usadowić jedną z nich w Dolinie Szwajcarskiej. I na co się przydadzą wszelkie nawoływania prasy i dobre chęci dyrektorów Noskowskiego i Münchheimera, bezinteresownie poświęcających czas swój i pracę dla sprawy tej orkiestry?

Warszawa przestała być najwidoczniej złotodajnem źródłem dla wirtuozów — oprócz Śliwińskiego i Hoffmana, dotąd żaden artysta europejskiej sławy nie wystąpił u nas z koncertem w sezonie bieżącym. Wynagradza nam to poniekąd Towarzystwo muzyczne, dbałe, aby każdy niemal koncert uświetniony był współudziałem jakiego głośnego wirtuoza. Nowych wybitniejszych znajomości nie zabraliśmy wszakże dotąd w obecnym sezonie na tych koncertach. Przypomniała nam się, między innemi, Teresa Carreno swoją grą fortepianową jędrną, trzeźwą, pełną jakiejś spiżowej, niewzruszonej siły, która jest wyrazem ducha znakomitej artystki, nie zaś wynikiem wyrobionych muskułów ręki. Powrócił Franciszek Ondrzyczek, skrzypek czeski, wirtuoz dużej sławy — może nawet nad zasługę — takim przynajmniej wydawał nam się na ostatnim swym u nas popisie: ani zdumieć techniką, ani porwać głębokością tonu i uczuciem wykonania, ani zająć programem nie zdołał.

Śliwiński niezwykle hojnym okazał się tym razem za pobytem swoim — nie dosyć, że grał w Tow. muzycznem i z własnym wystąpił koncertem, pośpieszył jeszcze z koleżeńską pomocą orkiestrze symfonicznej, gdy ta na dochód własny urządziła koncert, nie odmówił udziału w koncercie na rzecz jednego z literatów, dotkniętych nieuleczalną chorobą. O każdym z tych występów niepospolitego wirtuoza możnaby osobne pisać studyum, bo mało który może obdarzony jest równie kapryśną, nawskroś artystyczną naturą, nie pozwalającą nigdy przewidzieć w jakiem usposobieniu zasiada do fortepianu i czy dziś odegra Schumanna z takiem samem mistrzostwem jak wczoraj, czy nastrojowi duszy jego nie odpowiedzą dziś lepiej rozbolałe skargi Chopina, albo wytwory szalonej fantazyi Liszta. To też wyznajemy szczerze, iż żaden z żyjących fortepianistów nie daje nam tych wrażeń, co Śliwiński, który nadto w znakomitych technicznych środkach swoich posiada czynnik rzadko bardzo spotykany, a pozwalający osiągać niezwykłe efekta w grze fortepianowej, nieporównaną barwność tonu. Barcewicz może być pewien, że zapełnią się sale, nawet Redutowe, ilekroć afisze występ jego zapowiedzą. Nie doznał też zawodu i na koncercie Tow. muzycznego (d. 6-go b. m.) — tłumnie zebrana publiczność przyjmowała gorąco i oklaskiwała zasłużenie swego ulubieńca. Artysta był doskonale usposobiony i nie lekceważył słuchaczów, co mu się niejednokrotnie już zdarzało; wszystkiemi zaletami niepospolitej gry swojej wyposażył wykonanie „koncertu" Czajkowskiego (d dur) dzieła mało zajmującego, najeżonego, jakby umyślnie, trudnościami technicznemi, które zaciemniają rysunek melodyi, utworów Saint-Saëns'a, Sarasatego i nieobjętych programem, a dorzuconych pod „przymusem osobistym," nakazanym przez oklaski i *bisy* nienasyconej publiczności.

W operze mamy od lat już kilku szczególne szczęście do barytonów. Po Maurelu i Blanchardzie — Battistini, po nim zaś Kaschman, który obecnie zabiera laury p. Ducowi, pomimo jego potężnego głosu tenorowego. Dzieje się to za sprawą niepospolitej gry aktorskiej i umiejętności władania niezbyt już świeżym materyałem wokalnym. P. Kaschman to artysta w najszlachetniejszym stylu, nie goniący za efektami na poklask paradyzu obliczonemi. Jako Hamlet i Jago (w „Otellu") daje prawdziwie szekspirowskie kreacye, wsparte znakomitym śpiewem i jasną, wyrazistą dykcyą; doprawdy, niejeden aktor dramatyczny mógłby śpiewakowi ról tych pozazdrościć. Przydałoby się może tylko nieco więcej demonizmu w postaci Otellowego kusiciela; p. Kaschman zarówno w akcentach śpiewu, jak w grze za mało uwydatniał szatana, tkwiącego w tym człowieku, uprawiającym — zdaniem Brandesa — zło dla złego, będącym, według głośnego krytyka duńskiego, najbezwzględniejszem wcieleniem zła w literaturze wszechświatowej. Za najlepsze chwile w partyi Hamleta poczytujemy p. Kaschmanowi scenę zdemaskowania matki i rodzącego się udanego, czy też istotnego — niech o tem już sądzą legiony komentatorów Shakespeare'a — obłędu, oraz następnie scenę w sypialni z matką i z duchem. Tu w istocie artysta porywał i przejmował grozą; nieprawdopodobnem niemal się wydawało, żeby to śpiewak, nie mający poparcia w fizycznej sile słowa *mówionego*, mógł takie potężne wywołać wrażenie.

Pani Saville w dalszym ciągu występów swoich usprawiedliwiła, a poniekąd może i przeszła oczekiwania, do jakich czuliśmy się uprawnieni po „Violecie." Zarówno głos, jak i gra aktorska wykwintnej artystki zyskały wiele od jej ostatniej, przed dwoma laty, u nas gościny. Indywidualna wybitnie w każdej roli, wyposaża każdą mnóstwem artystycznie obmyślanych i z niemniejszym artyzmem wykonanych szczegółów, zawsze zabłyśnie jakimś estetycznym pomysłem, daleko od szablonu odbiegającym. Największe pole do wykazania zalet talentu swego ma pani Saville w partyi Małgorzaty (Gounoda), to też stworzyła z niej całość skończoną. Jej Małgosia od pierwszego ukazania się na scenie, kiedy, drgnąwszy na widok Fausta, odpowiada mu stłumionym głosem i potem raczej biegnie strwożona, niż idzie dalej do kościoła, pozwala się domyślać tragicznego końca bezbronnej wobec potęgi miłości dziewczyny. I w tym charakterze utrzymuje się pani Saville konsekwentnie, a uwydatnia go najbardziej w scenie kościelnej, kiedy nie krzyczy, nie szarpie się, ale, złamana, błaga miłosierdzia Bożego i obrony przed głosem szatana. Ślicznym pomysłem urozmaica artystka poetyczną balladę o „królu Thule" — pierwsze zwrotki nuci przy kołowrotku, ostatnią, zrywając kwiaty, rozmarzona spotkaniem. Niepodobna nam oczywiście iść w ślad za artystką i scenę po scenie rozbierać, więc powiemy, że i arya z klejnotami i duet i niema prawie scena z konającym Walentynem — którego p. Kaschman wysunął na pierwszy plan — i akt w więzieniu z jednakiem były wykone mistrzowstwem. Podobnie jak gra nie zawiodła nigdzie aktorki, dopisał też wszędzie i głos śpiewaczce — a głos to przedziwnie czysty, miękki, mający iście wiolonczelowe tony, wyrówna-

*) Przed czterema laty (w r. 1893 nr. 9—11) zwróciliśmy już uwagę czytelników *Prawdy* na tego znakomitego pisarza. *Red.*

ny, rozporządzający świetnem *mezza-voce*. W niewdzięcznej, a męczącej roli Desdemony („Otello" Verdiego) umiała p Saville zwrócić na siebie uwagę grą mimiczną, w akcie ostatnim dopiero w śpiewie o „wierzbie" i „Ave Maria," mając pole do popisu, które też wyzyskała z całym swoim artyzmem. Z kolei przedstawiła nam się jako Ofelia („Hamlet" Thomasa) i tu dowiodła, jak artystka prawdziwa może estetycznym pomysłem uratować niezbyt szczęśliwą myśl autora. Thomas każe baletowi tańczyć nad zemdloną w scenie obłędu Ofelią — pani Saville nie mdleje, lecz kwiatowemi girlandami złączona z baletnicami bierze udział w ich pląsach i osiąga tem wielkie wrażenie, podobnie jak całą sceną szału. Obłęd jej nie przeraża, nie straszy, ale wzrusza i przejmuje rzewnym żalem do głębi. Świetnie również odśpiewała i odegrała artystka scenę czytania, kiedy udaje, że nie widzi stojącego opodal Hamleta. Dodać jeszcze musimy, że p. Saville posiada nader wyraźną dykcyę, każde słowo śpiewane można zrozumieć; artystka śpiewa opery francuskie po francusku, włoskie zaś — w języku włoskim.

Dla określenia Colli, który pełni obowiązki tenora lirycznego i śpiewał między innemi Fausta, wystarczy gdy powtórzymy czyjąś trafną uwagę, że „gdyby było więcej takich Faustów, mniej byłoby Małgorzat"; i głosem i grą mógłby się popisywać z powodzeniem chyba — w Pacanowie.

Br. N.

O PRAWDĘ.

W sprawie „Komedyantek"

Hołd należy się każdemu, kto umie zgłębić duszę ludzką, niesprawiedliwie zdeptaną, kto sondę zapuszcza aż do rdzenia choroby, toczącej społeczeństwo, i kto śmiało, z odkrytą przyłbicą wszczyna walkę z ohydnym potworem, zwanym wiekuistą opinią, w sprawie tak świętej, tak wielkiej, jak sprawa „Komedyantek" życia.

Bo kwestya to nietylko kobieca, to kwestya bytu całych społeczeństw, ich normalnego rozwoju — postępu ducha ludzkiego w blizkiej przyszłości!.

U nas szczególnie ostatnie lata wytworzyły szeregi, bodaj czy nie tłumy takich kobiet — atomów; są to panny, słuchaczki wszelakich wykładów. Rzucają się one, jak zgłodniałe wilki, na naukę, żeby zaspokoić dojmujący, piekący głód i zagłuszyć, omamić ból niewyładowanej energii życiowej, rozsadzającej siłą swego naporu całe jestestwo dziewicze.

Lecz czy, zwróciwszy się do medyków, znalazłyby kobiety właściwy środek na zaspokojenie rozszalałej, wszelkie tamy rwącej — natury? Wątpię.

Trucizna w dawkach, jeśli hamuje nerwy—to je zarazem pozbawia siły żywotnej; tępiciją one i organizm zostaje pokrzywdzony.

Nie pomoc medyków jest tu najwłaściwszą — ona złemu nie zaradzi; lekarzy duszy nam potrzeba, właściwiej — światła — dla zawiłych spraw tego siedliska wszelkiej rozkoszy i wszelkiego bolu. Należy wychowanie zreformować z gruntu, należy dziewczęta uczyć, iż prawidłowy rozwój organizmu tylko przy prawidłowych funkcyach jego odbywać się może, że im silniejszy będzie ucisk sprawności organizmu, tem silniejsza grozi mu reakcya.

Przyroda, mistrzyni jedyna, bo jedynie prawdziwa, nie zna rozpasania instynktów, i człowiek dziecię przyrody, znać ich nie powinien. Przerafinowana cywilizacya, wyzbywająca się wspólności z przyrodą — oto zagłada człowieka, jego zwyrodnienie. Czemu naturalny popęd rozrodczy w świecie zwierzęcym nie wywołuje rozpasania i nadużyć? Czemu mózg ludzki, w pracy swej zużywający znakomitą ilość siły organizmu, nie jest naturalnym jego hamulcem?

Człowiek nie jest zwierzęciem samotnem — czemu niema swobody urządzenia sobie życia wedle potrzeby: towarzyskiego?

...A kobiety—atomy duszą i sercem kują wyłomy w przegniłym murze życia...

X. X.

W DALI.

Wilno. Generał-gubernator wileński, kowieński i grodzieński, generał kawaleryi, senator Orżewskij, ciężko zapadł na zdrowiu. — Zima tegoroczna jest śnieżna i stała; skutkiem tego ceny opału rosną ciągle. W powiatach lesistych sążeń kosztuje 5 rs., w innych, np. Oszmiańskim, dochodzą do 8—10, a nawet 12 rs. Kupcy utrzymują, iż wogóle wartość towaru leśnego podniosła się w handlu o 10%, usposobienie zaś rynków zagranicznych zapowiada ciągłą zwyżkę. — Niepowodzenia w rolnictwie i ciągły brak gotowki, zmuszają ziemian do niekorzystnej sprzedaży lasów spekulantom, Te, które nie uległy jeszcze cięciu, należą do osobliwości. Bogate obszary lesiste pozostały jeszcze w tych miejscowościach, gdzie niema rzek spławnych, ani kolei, gdzie bagniste przestrzenie utrudniają wszelką komunikacyę. Do takich osobliwości, gdzie jeszcze topór handlarzów nie dotarł, należy puszcza Łukawiecka, na pograniczu pow. Borysowskiego, gub. Mińskiej.

Petersburg. Ministeryum oświaty przesłało uniwersytetowi kazańskiemu wzory dyplomów dla kobiet lekarek, które po ukończeniu kursów za granicą złożyły wymagane przez prawo egzaminy w uniwersytetach rosyjskich. — Ogłoszono następujące rozporządzenie: „Ze względu na szkodliwy kierunek gazety *Łucz* minister spraw wewnętrznych postanowił dać jej pierwsze ostrzeżenie w osobie wydawcy, kupca petersburskiego, Aleksandra Wolffa, i redaktora tymczasowego Włodzimierza Czujko, a zarazem zabronić sprzedaży numerów oddzielnych. Następnie wydawnictwo tego organu zawieszono do czasu zatwierdzenia nowego redaktora. Wzbroniono także sprzedaży oddzielnych numerów gazety *Utro*.

Kiszyniów. Po Odesie Kiszyniów zajmuje drugie miejsce pod względem ludności. Korespondent *Warsz. Dziennika* to samo miejsce wyznacza mu i pod względem liczebności Polaków w stosunku do innych miast południowych. „Kamieniec Podolski, Żytomierz i inne, dotąd zachowały liczną ludność polską. Cherson, Mikołajów, Elisawetgrad, Jekaterynosław, Symferopol i inne miasta południa, albo, mówiąc językiem oficyalnym — Noworosyi, chociaż data ich istnienia jest wcześniejsza, niż Kiszyniowa, nie przyciągnęły Polaków i w szeregu miast noworosyjskich, Kiszyniowowi należy się palma pierwszeństwa, z wyjątkiem Odesy, w której ludność polska przewyższa ludność niejednego miasta gubernialnego w Królestwie Polskiem. R. 1819 w Kiszyniowie spora już urosła rzesza katolicka, dla której stworzono osobną parafię. Byli to przeważnie Polacy, pochodzący z ziemi podolskiej. Obecnie według rubryceli konsystorza, ludność katolicka dosięga 4,000, chociaż według korespondenta *Warsz. Dn.*, w rzeczywistości wynosi przeszło 6,000. Ludność ta składa się z urzędników różnych instytucyj, właścicieli ziemskich, dzierżawców, lekarzy, adwokatów, aptekarzy, kupców, rzemieślników itd. Do tego jeszcze dodać należy około 2,000 żołnierzy garnizonu miejscowego. Od r. 1884 rekruci Polacy w 1/3 pochodzą z Królestwa (do r. 1889 z gub. Kieleckiej, a następnie do chwili obecnej z gub. Warszawskiej). Spora jest także liczba katolików wyższej rangi, zaczynając od naczelnika garnizonu, a kończąc na podporucznikach. Wogóle we wszystkich pułkach miejscowych jest około 40 oficerów Polaków. Werbowanie rekrutów w ciągu ostatnich lat 12-tu z Królestwa Polskiego znacznie wpłynęło na wzrost ludności polskiej w Kiszyniowie, gdyż wielu skończywszy służbę, zamieszkuje w tem mieście na stałe. Szczególnie pozostają chętnie młodzi ludzie, nie posiadający w stronach rodzinnych żadnej siedziby. Z nich się rekrutują stróże, lokaje, posłańcy, formani, policyanci, strażacy; wogóle wyrobili sobie opinię ludzi skromnych i uczciwych. Wielu weszło w związki małżeńskie z kobietami miejscowemi, zaaklimatyzowało się i zatraciło cechy narodowościowe. Język spaczony tworzy jakąś szczególną, niezrozumiałą gwarę. Znaczna część tych przybyszów zamieszkała w okolicach podmiejskich i zakupiła sobie ogrody. Uchodzą oni za Mołdawian. Korespondent *Warsz. Dn.* zaznacza, że inteligencya polska w Kiszyniowie nie wytworzyła sobie żadnego ogniska wspólnego. W Odesie istnieje katolickie Towarzystwo dobroczynności, które utrzymuje szkołę parafialną i przytułek dla ubogich; w Mikołajowie także instytucya utrzymuje szkołę. „W Kiszyniowie niema nic podobnego: Polacy żyją rozproszeni, każdy myśląc o sobie i nie troszcząc się o innych."

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Nowy szpital żydowski na Woli otrzyma stałą czytelnię dzieł różnej treści tudzież pism peryodycznych warszawskich. Powstaje ona z daru p. Silbersteina.

— Przyrodnicy warszawscy poruszyli projekt otwarcia w Warszawie zakładu na wzór „Uranii" berlińskiej, w którym odbywałyby się odczyty naukowe z dziedziny przyrody.

— Fotografowie warszawscy poruszyli sprawę stworzenia Towarzystwa dla rozwoju sztuki i utrzymywania kasy pomocy.

Moneta złota. Ze względu na potrzebę wznowienia bicia monety złotej, tudzież usunięcie wątpliwości śród mas, jaką wywołała niezgodność nominalnej wartości monety złotej z jej ceną, oznaczoną dla wymiany na bilety kredytowe, polecono p. ministrowi Najwyższym Ukazem bić monetę złotą z oznaczeniem na niej ceny rzeczywistej, tj. na imperyałach 15 rs., a na półimperyałach 7 i pół.

Wyprawa naukowa. Towarzystwo geograficzne w Petersburgu postanowiło r. b. przedsięwziąć wyprawę w celu zbadania kraju Turkiestańskiego pod względem orograficznym, geologicznym i mineralogicznym. W górach tameczных znajdowano niejednokrotnie rubiny i inne kamienie drogocenne.

Szkoły. W sprawie odroczenia wychowańcom szkoły mechanicznej inż. Mittego terminu odbywania powinności wojskowej aż do ukończenia kursów ministeryum orzekło, że ten zakład, jako prywatny, nie może korzystać z przywilejów, służących wychowańcom szkół technicznych rządowych.

— Ministeryum oświaty zatwierdziło zapis Anny Jakubowskiej i Maryi Bouffałowej tudzież Juliana Jakubowskiego, przeznaczający rs. 14,000 na utworzenie stypendyów: dwu przy gimnazyach męzkich—maryampolskiem i suwalskiem i jednego przy uniwersytecie warszawskim.

— W ministeryum rolnictwa powstaje komisya do urządzenia w Jekaterynosławiu szkoły wyższej techniczno-górniczej.

Zdrowie publiczne. W Indyach dżuma wzrasta. Cały handel ustał. Umiera przeszło po 2,000 osób na dobę.

Teatr i muzyka. Na posiedzeniu sekcyi im. Moniuszki w Towarzystwie muzycznem postanowiono przystąpić do wydania „Sonetów krymskich" bez drugiej części sonetu 3-go, tj. bez „Pieśni młodzieńca," której odszukać nie można. „Sonety" będą wydane z głosami chórowymi i orkiestrowymi, z tekstem w czterech językach: polskim Mickiewicza, rosyjskim — według przekładu Benedyktowa, niemieckim Wład. Gumplowicza i angielskim. Gotowy tekst włoski Elli de Schoultz Adajewskiej będzie zużytkowany później w miarę potrzeby. Jednocześnie sekcya postanowiła zająć się nowem wydawnictwem „Sonetów" w układzie fortepianowym na cztery ręce, gdyż dawne już w handlu księgarskim wyczerpane. Nadto postanowiono wydać w r. b. uwerturę p. t. „Bajka" na orkiestrę oraz kilka drobnych utworów.

— Przyjęto plan przebudowy teatru Małego, opracowany przez budowniczego Kozłowskiego. Gmach ma być rozszerzony od strony podwórza, a sala widzów posunięta ku ulicy w taki sposób, iż scena zajmie całe przedłużenie i część sali dzisiejszej.

— Towarzystwo artystów petersburskich stara się o urządzenie kilku przedstawień w Lublinie podczas pobytu w Warszawie.

Dobroczynność. Spadkobiercy zmarłej Emilii bar. Lesserowej złożyli następujące ofiary na rozmaite instytucye dobroczynne: rs. 1,000 na dom schronienia starców i sierot ewang.-augsb., rs. 500 na ochronę małych dzieci ewang.-augsb., rs. 500 na oddział kalek nieuleczalnych gminy ewang.-augsb., rs. 500 dla Towarzystwa przeciwżebraczego, rs. 500 na warszawski szpital dla dzieci i rs. 500 na ochronę imienia ks. Baudouina. Oprócz tego robotnikom i oficyalistom rozdano rs. 4,500.

Wystawy i zjazdy. W końcu marca r. b. Towarzystwo miłośników hodowli drobiu w Moskwie urządza wystawę, która potrwa przez trzy dni.

— Grono obywatelek ziemskich— jak donosi *Kuryer Warsz.*— naradzało się w tych dniach nad stworzeniem stałej wystawy wyrobów włościańskich. Miałaby ona na celu pośrednictwo w zbycie.

— Towarzystwo fotografów-amatorów w Rewlu urządza wystawę fotograficzną. Podzielono ją na cztery grupy: 1) fotografie posiadające wartość artystyczną; 2) naukową i techniczną; 3) obrazy stereotypowe; 4) przyrządy fotograficzne. Udział mogą wziąć tylko amatorowie.

Katastrofy. W nocy z dnia 10 na 11 b. m. na oddziale Brjańsk-Homel kolei żelaznych Poleskich w pobliżu przystanku Minkowicze, spotkał się pociąg osobowy z towarowym. Oba parowozy silnie uszkodzone i 15 wagonów ładownych różnymi towarami rozbitych. W pociągu towarowym pomocnik maszynisty zabity na miejscu. Z podróżnych w osobowym oprócz lekkich kontuzyj nikt szwanku nie poniósł. Wypadek ten do czasu uprzątnięcia rozbitych wagonów spowodował dłuższą przerwę w komunikacyi.

— Z New-Yorku telegrafują, iż pod Pittsburgiem wyleciała w powietrze fabryka dynamitu. Pięćdziesiąt ofiar.

Zbrodnie. Tydzień ubiegły zaznaczył się obfitością zbrodni w Warszawie i na prowincyi. Ofiarą bójek w szynkowniach miejskich i na ulicach było kilka osób ciężko nożami pokaleczonych. Nadto na Maryensztacie w domu publicznym dwie osoby zamordowano na miejscu. W pow. Garwolińskim zamordowano w Parysowie właścicielkę szynkowni i jej syna czternastoletniego; roztrzaskano im głowy i podpalono dom.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panom W. S., S. G. i Z. Cz. Trzeba naprzód zbadać, co zrobić można.

T. J. w Lublinie. Takiej encyklopedyi nie ma i jest ona niepotrzebna. Zastąpi ją „Słownik języka polskiego," który wkrótce zacznie wychodzić i wszystkie te wyrazy uwzględni. Stylistyka nie nauczy Pana poprawnie i wytwornie pisać po polsku: do tego potrzeba: posiadać zdolności i czytać autorów wzorowych. Najnowsza, krótka: „Jak pisać po polsku?" Wł. R. Korotyńskiego.

Panu E. Wyszomirskiemu w Petrozawodsku. Ogłosiliśmy w nr. 2 *Prawdy*.

Panu Janowi L. w M. Utwór bardzo niedojrzały, a nawet niezdradzający talentu.

Prenumeratorce. Cóż to pomoże, kiedy u nas instytucye dobroczynne są wyznaniowe?

Prenumeratorce w Tir. Na zlecenie nasze księgarnia Wendego wysłała Pani za pobraniem pocztowem najlepsze dziełko, jakie w tym rodzaju posiadamy.

PISMA
Aleksandra Świętochowskiego
Tom I-szy
zawierający obrazki:
Damian Capenko, Chawa Rubin, Karl Krug, Klemens Boruta, Oddechy, Na pogrzebie i Woły,
wyszedł z druku i kosztuje rs. 1 kop. 50. (z przesyłką rekomendowaną rs. 1 k. 68).
Dalsze tomy wyjdą w krótkich odstępach czasu. Nabywać można we wszystkich księgarniach.

OGŁOSZENIA.

WYDAWNICTWA „PRAWDY."

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.
Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich złożona — rs. 3.
L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.
A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii— rs. 3.
Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.**
L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne**, czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. Bąkowskiej — rs. 3.
E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin** (w oprawie) — rs. 1.50.
J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.
Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.
N. Hirszband. **Byron w urywkach**, kop. 50.
Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.
K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 30.
E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.
M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa—rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Wyszła z druku i jest do nabycia we wszystkich księgarniach
Rozprawa p. t.:
Poeta jako człowiek pierwotny
przez
Aleksandra Świętochowskiego.
Wydanie wytworne na papierze welinowym, str. 52. Cena rubli trzy, na przesyłkę kop. 15.
Skład główny w Administracyi „Prawdy."

KSIĘGARNIA
Gebethnera i Wolffa w Warszawie, poleca do nauki
JĘZYKÓW OBCYCH:
H. Bergera najnowsze łatwe metody **gruntownego nauczenia się w krótkim czasie, z pomocą lub bez pomocy nauczyciela, języków:**
NIEMIECKIEGO (z kluczem) rs. 1, w opr. płóciennej rs. 1,50.
FRANCUSKIEGO (z kluczem) rs. 1. w opr. płóciennej rs. 1,50.
ANGIELSKIEGO rs. 1, opr. rs. 1,50,
Przesyłka pocztowa po kop. 20.
Najlepszy i najobszerniejszy **Słownik francusko-polski i polsko-francuski** t. zw. emigracyjny rs. 6, w opr. w półskórek rs. 6.90. Oddzielnie Część polsko-francuska rs. 5, francusko-polska rs. 2.
Wielki wybór słowników.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Po 3 ruble
naklejam i lamuję wstążką **mapę Europy**, wydanie **„Wieku" i „Wędrowca."** — Maryańska 5, mieszk. 9.

Nakładem naszym wyszła
PSYCHOLOGIA DZIECKA
Dr. med. L. Wolberga.
Cena **rs. 2**, z przesyłką pocztową **rs. 2 kop. 20.** Egzemplarze oprawne o **20 kop.** drożej.

Do nabycia we wszystkich księgarniach
James Sully
UMYSŁOWOŚĆ LUDZKA.
Księga podręczna psychologii. — Tłómaczył **J. K. Potocki.** — Tom I, str. 623 w 8-ce dużej. — Cena rs. 3. — Skład główny u **Gebethnera i Wolffa.**

+ SPÓŁKA NAKŁADOWA +
poleca:
BOLESŁAWA PRUSA
(Aleksandra Głowackiego)
SZKICE I OBRAZKI
tomów cztery, z portretem autora.
Cena rs. pięć (z przesyłką rs. 5 kop. 75), w ozdobnej oprawie rs. sześć (z przesyłką rs. 6 kop. 40).
Pierwsze dwa tomy zawierają utwory mniejsze, tom III i IV powieści: **Anielka i Dusze w niewoli.**

Staraniem ***Spółki Nakładowej*** *wyszła z druku:*
Przygoda Jasia,
opowiadanie dla dzieci
z rysunkami *Antoniego Kamieńskiego.* przez ***Elizę Orzeszkową.***
W ozdobnej oprawie cena **kop. 50**, na przesyłkę k. 14.
Skład główny w Redakcyi „Prawdy."

Staraniem **Spółki Nakładowej** wyszedł z druku:
Henryka Heinego
WYBÓR PISM
tom III-ci i zawiera:
Księgę Le Grand oraz **Noce florenckie,**
w przekładzie
Maryi Konopnickiej.
Cena rubel jeden, na przesyłkę kop. 15.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 10 Января 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.